

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 2 III. 1952 r.

Nr. 9 (343)

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

KAZIMIERZ DĘBNICKI

NAD WSTĘPEM
DO PROJEKTU KONSTITUCJI

„Polska Rzeczpospolita Ludowa nawiązuje do najszczytniejszych postępowych tradycji Narodu Polskiego i urzeczywistnia idee wyzwolenie polskiej mas pracujących“.

Wiek osiemnasty gaśnie. Związa blaski pyszne
Jak zdjęty pas szlachecki przetykany licznie
Złotem...

Powstańcy ogień jeszcze raz zabłyśnie.
Listopad porwany dmuchnie w grudzie iskrę
I porwie je daleko. Jak polarne gwiazdy
Zaświecą dekabrystom w syberyjskiej kaźni.
Szopen je skryje w nutach, zagra — parzą palce.
Lecz Worcell powie: wolność musi lud wywalczyć,

I oto barykady. Wiosna ludów. W Polsce
Chłopi do rąk chwytają kosynierskie ostrze,
Marks układa manifest i oświeca przyszłość.
„Widmo krąży w Europie — widmo komunizmu“.
Polacy emigranci nasłuchują: dnieje.
Mickiewicz w Rzymie. Tworzy niepodległą legię.
Świt wstaje nad Europą. Sztandarami pała.
Krew ściennia bruk paryski...

„Wyjdzie stu robotników“ — rzekł Słowacki. Liczbę
Kapitał zwiększa. Rosną nowe armie liczne.
Przechodzą progi fabryk i wstępują w dzieje:
Grabarze burżuazji, rycerze nadziei
Dla uciśnionych ludów...

W Polsce śnieżna zamięć
Tratuje ślad powstańców. Idzie z żandarmami
Czas budowania fabryk, niedzy mas, wyzwisku,
Lecz w robotniczych rękach: młot i własna przyszłość.
Do walki z kapitałem wiedzcie pierwsza Partia
Jak żołnierz o karabin — o klasową wsparcia.
I przetrwa „Proletariat“. Nie zduszą wyroki
Promieni, które biją z powieszonych oka.
Waryński w Schlüsselburgu, ale jego Mazur
Walczącym takt podaje, potrzasa żelazem
Łańcuchów...

Więc piąty rok... Dzierżyński jest w Zagłębiu, w Łodzi...
Jak płomień gorący w mrok niewoli godzi.
W czerwcu gorące lato. W Łodzi bruki zięją
Kulami barykady, ogniem i nadzieją
Rewolucji... Te salwy słyszysz z dala Lenin
Olbrzymi — za nim szósta świata część w płomieniach.
Strajki miażdżą kartele. Bunty. Imperializm
Trzeszczy jak gmach od burzy... I choć odpływ fali
Zaczniesz się wkrótce, przecie ludu gniew nie ostygł.
Ten gniew jak pocisk w lufach armat — skrył się, został
I czekał nowej chwili.

Aż wystrzelił groźny
Z „Aurory“ w świat przemocy i władania możnych.
Ten wystrzał razem z braskiem mrocznym niebem przemknął.
W historii wzniecił jasność i odepchnął ciemność.
Huk poobalał w chmurny ranek października
Drapieżne orły, które strzegły na granicach
Rozbioru Polski. Lenin drze traktaty carów.
Braterską dłoń podaje Polsce wolny naród
Chłopów i robotników...

Lecz choć dławi faszyzm
Brzmi Międzynarodówka w Polsce w rytmie maszyn.
Śpiewają ją na wiecach, w pochodach, w upartych
Strajkach, w powstaniach chłopskich... Śpiewają ją w Partii.
Lata ofiar i hartu. Powstawała siła,
Którą serce narodu nieśmiertelnie biło
W walce o chleb i wolność, v bojach o socjalizm.
Tą siłą komunizacji...

To oni wiedli naród w latach hitlerizmu
Do zmagania i uczyli, jak kształtować przyszłość.
Z Czerwoną Armią polskie wojsko pędząc wroga
Piastowskie stare orły stawiało na drogach.
Śladem — rolnik szedł orać ziemię wreszcie własną,
Robotnicy maszyny montowali w miastach,
W fabrykach, odebranych wreszcie fabrykantom...
I dzieci szły do szkoły święgotliwym rankiem.
Wyszedł człowiek po nocy, spojrzal uśmiechnięty:
Jego kopalnie, miasta, rzeki, zbóż odmęty!
Jego dzień rozjaśniony nad wolną ojczyzną!
Dla niej krew wielkich synów jakby źródło trysta
I rozniecała tyle walk o sprawiedliwość,
O wolność, niepodległość — krew, która jest żywa,
A tak gorąca, że ją czujesz w każdej grudzie
Naszej ojczyzny ziemi i w człowieczym trudzie,
Gdy wznosi on budowle i kładzie fundament
Pod Polskę socjalizmu.

Grzegorz Timofiejew.

Sprawa wolności i pokoju

LUDZIE, konający w komorach gazowych, rozstrzelani pod murami gestapowskich więzień, niszczący ogniem i żelazem w żydowskich ghetach Europy, wieszani na ulicach miast całego europejskiego kontynentu w imię hitlerowskiej sprawiedliwości — obracali wzrok na Wschód. W stronę ZSRR. Tam bowiem rozgrywały się losy świata. I jeżeli losy skazańców były już przesądzone, minuty zaledwie dzieliły ich od śmierci — to życie bliskich, żon, dzieci, ojców i matek, dziesiątków i setek milionów Europejczyków — zależały od tego, czy wykuty w kuzni socjalistycznego przemysłu oręż radziecki, czy zahartowany w walce o szczęście ludzkie żołnierz Czerwonej Armii, złamią kręgosłup faszyzmu — armię bezprawia i mord. Ludzie różnych ras i języków, poglądów i wierzeń, patrzyli w owe lata, kiedy krew była tania, a życie człowieka bezwartościowe z nadzieją i wiarą na Związek Radziecki, na Józefa Stalina, na Armię Wyzwoleniczkę. Prześladowani za rasę i religię, prześladowani za narodowość, za słowo „Wolność“, za słowo „Sprawiedliwość“, goniący, szczeni, katowani — siłę i hart, ucieczkę przed załamaniem i klęską psychiczną — znajdowali w prostych słowach Stalina:

„Wojny z faszystowskimi Niemcami nie można uważać za zwykłą wojnę. To nie tylko wojna między dwoma

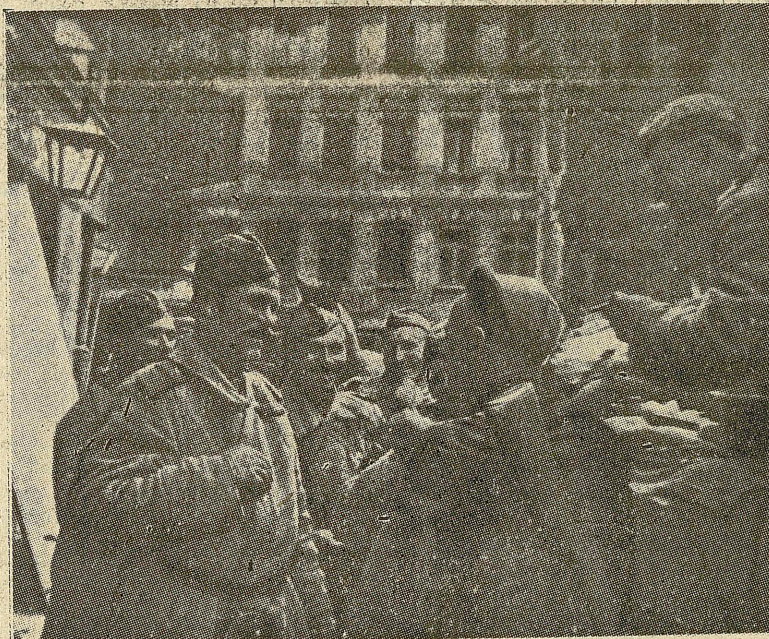
języcznym w jarzmie hitlerizmu. Realizowali w sposób ostateczny. Złota Hitlera nie byli już wtedy pełni radości i zwycięstwa. Te nastroje i te uczucia rosły wówczas w sercach europejskich ludów. Czerwone nastroje wolności, buntu, sprawiedliwości.

Dlatego nawet, bynajmniej nie komunistyczne radio francuskie, mówiło do 40 milionów mieszkańców II de France na falach eteru w 1945 roku:

„Armia Czerwona stała się uosobieniem wszystkich wielkich nadziei Europy. Bez niej przegraliśmy wojnę. Bez niej ofiary naszych żołnierzy byłyby daremne“.

Francuz, generał A. Guillaume, w r. 1948 z-ca generalnego Inspektora Armii, tak pisał w swej książce „Dlaczego Armia Czerwona zwyciężyła“:

„Armia Czerwona zdobyła nie tylko dla siebie sławę likwidatora „wojny błyskawicznej“ łamiąc pod Leningradem, Moskwą i Stalingradem uderzenie pancernych dywizji hitlerowskich, następnie przeciwstawiając, bez chwili słabości, podstawowemu masom armii niemieckiej — swą walkę, bez precedensu, jeśli chodzi o jej zasięg i zażartość. Wniosła ona do wspólnego zwycięstwa najbardziej krwawą ofiarę swych 7 milionów zabitych i 3 milionów inwalidów. Takim poświęceniu Armii Czerwonej należy się hołd wdzięczności i podziwu“.



W Berlinie, maj 1945 r.

armiami. Jest to zarazem wielka wojna całego narodu radzieckiego przeciwko niemieckim wojskom faszystowskim. Celem tej ogólnonarodowej wojny przeciwko ciemnym faszystowskim jest nie tylko usunięcie niebezpieczeństwa, które zawisło nad naszym krajem, ale i udzielenie pomocy wszystkim narodom Europy, jeżdzącym w jarzmie niemieckiego faszystwu“.

Józef Stalin, Związek Radziecki, Armia Czerwona dotrzymała słowa. Wyzwoliły Europę nie tylko po Łabę i Dunaj, ale wyzwoliły także narody Zachodniej Europy, które bez radzieckiego, rozstrzygającego zwycięstwa — nie mogły zająć smaku wolności.

„9.5. 1940. Około godziny 15 zarządzone dywizyjny alarm bojowy dla naszego pułku. Gdy przed godziną 19 wrócił kuryer z rozkazami dla pułku wszystko było już w pogotowie marszowym i w zapadającej ciemności wyruszył pułk z Zülpich. Wszyscy byli weseli i pewni zwycięstwa“.

Tak zaczyna się dziennik pułkowy 7 Regimentu piechoty hitlerowskiej prowadzony w dniach 10.5 — 17. 1940, w dniach najazdu na Francję.

Wiemy, co oznaczały te spokojne, łagodne rzekłbyś, słowa faszystowskiego pisarza pułkowego dla mieszkańców Francji. Wiemy, co nastąpiło, co działo się wśród nasłonecznionych winnic, na szerokich bulwarach Paryża, w cieniu starych wież Dijon, Bordeaux, Lyonu, — gdy 7 regiment piechoty wyruszył z Zülpich. I wiemy także, że gdyby odnaleziono archiwum 7 pułku hitlerowskiej piechoty z roku 1944 i 1945 — dzień po dniu — jednostki nie użyłyby słów: „Alles war froh, sieges — gewiss“.

W tym bowiem czasie na ziemiach Polski i na ziemiach Niemiec czerwonoarmistów realizowali słowa Stalina, niosąc pomoc narodom Europy,

zisić się nadzieje dręczonych ludów, zisić się ostatnie marzenia i mierzących za wolność bojowników, zisić się sny ludzi ciemionych przez faszyzm za swą religię, rasę,



Foto WAF

Kazimierz Dębicki



Powitanie żołnierzy radzieckich i polskich w oswobodzonym Lublinie. Foto WAF

narodowość. Nadeszła wolność. Faszyzm runął.

„Chwała naszej bohaterskiej Armii Czerwonej, która obroniła niepodległość naszej Ojczyzny i wywalczyła zwycięstwo nad wrogiem“.

Chwała naszemu wielkiemu narodowi, narodowi — zwycięcy!

Wielka chwala bohaterom, którzy polegali w walce z wrogiem i życie oddali za wolność i szczęście naszego narodu“.

Tymi słowy odezwał do narodu, zamknął Józef Stalin 9 maja 1945 roku księgę wojennych zmagania z hitlerowskim faszyzmem.

Zwycięstwo Kraju Socjalizmu i jego bohaterskiej Armii Czerwonej nad międzynarodowym faszyzmem otworzyło nową erę w dziejach ludzkości. Koła wozu historii zaczęły się obracać szybciej, ale nie wstecz, jak o tym marzyła schodząca już z widowni świata klasa kapitalistów, ale naprzód, bo w tym kierunku pchają dziś wóz historii świata prawa rozwoju społecznego, od wieków z obojętną koniecznością kształtujące dzieje ludzkości.

Drugoczący cios zadany międzynarodowemu faszyzmowi był bowiem ciosem w samo serce kapitalizmu, którego faszyzm miał być głównym i jedynym spadkobiercą.

Oddechnęły swobodnie narody: Polski, Czechosłowacji, Bułgarii, Węgier, Rumunii, Albanii, narody przez faszyzm przeznaczone na mierzwe pod przyszłe imperium światowe, oparte na gwałcie przemocy i ucisku. I obalwszy u siebie władzę wyzyskiwaczy przy pomocy Kraju Zwycięskiego Socjalizmu rozpoczęły budowę nowego, lepszego, socjalistycznego życia.

Śmiały podniósł głowę narody kolonialne Azji, Afryki, obu Ameryk, strząsając z siebie z rosnącą mocą jarzmo upadającego wyzysku i ucisku. Łańcuch kapitalizmu, skuwający kraje kolonialne pękł już na ogromnych obszarach Chin, pęka na naszych oczach w Indonezji, Indochinach, Egipcie, Turcji, Indiach, krajach Ameryki Łacińskiej.

Do zdecydowanej walki o niezależność narodową, o sprawiedliwość, o dobrobyt, o prawo do własnej narodowej kultury, zrywają się narody dawnych metropolii kapitalistycznych, a dziś już tylko kolonii drapieżnego imperializmu amerykańskiego, narody Francji i Włoch prowadzone przez coraz bardziej świadomą swą misję dziejową, nową siłę społeczną — klasę robotniczą.

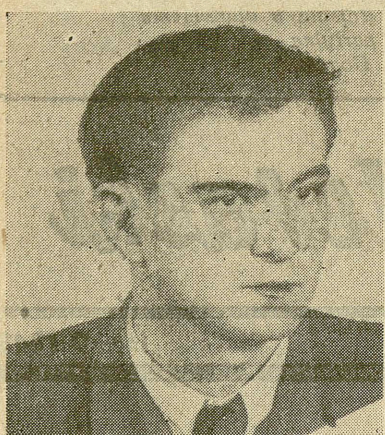
Płomień rewolucji, który zapłonął w październiku 1917 roku na jednej szóstkiej kuli ziemskiej, gorzej dziś już na jednej trzeciej kontynentów świata, błyska już na moment przed wybuchem w większości krajów kolonialnych, obejmując swym tchnieniem narody dawnych metropolii kapitalistycznych.

2 roku na rok kurczą się rezerwy międzynarodowego kapitalu, przetrzaskują się szeregi jego najwierniejszych, kiedyś sojuszników spośród chłopów, drobniomieszczan, inteligencji tworzącej rezerwy i sojusznicy międzynarodowego proletariatu.

Międzynarodowy kapital nie może cofnąć wstecz biegu historii, a czując jak cugle władzy wymykają mu się ze słabnących rąk pragnie raczej zgubić ludzkość i utopić świat w nowej krwawej zawierusze niż zejść z widowni dziejów. Na straży jednak pokoju światowego stoi dziś, jak nigdy na straży jednego wówczas jeszcze kraju socjalizmu, niezwykła Armia Radziecka, armia sprawiedliwości, wolności i braterstwa ludów. Zapleczem tej armii jest już dziś nie jeden tylko kraj, nie tylko zasoby materialne ZSRR, lecz cały światowy ruch obrońców pokoju, skupiający dziś ponad 800 milionów ludzi różnych ras, języków, wyznań i poglądów, ruch zwycięsko dziś przeciwstawiający się ludobójczemu planowi imperialistów, marzącemu o nowym światowym imperium niewolniczym. Zapleczem tej Armii skąd czerpie swe siły i soki żywotne są wszystkie postępowe siły społeczne świata walczące ze starym, zmurszałym, gnijącym porządkiem. Ślusnie można dziś Armię Radziecką nazwać **publikiem**, walczącą o prawo do życia i rozwoju całej ludzkości.

HENRYK WORCELL

MŁODY DOBROWOLSKI



Młody Dobrowolski

WKRÓTCE po 9-ej nadszedł z pociągu młody Dobrowolski, który już po raz drugi w tym miesiącu był na zjeździe aktywistów zetemówskich we Wrocławiu. Chłopak liczy sobie 20 lat, niedawno awansował przy ojcu z czeladnika na majstra ślusarskiego. Poza pracą w Ośrodku Maszynowym odznaczył się w akcji skupu zboża, zwłaszcza na wyznaczonym mu terenie gromady Skrzynka, która swój plan zrealizowała w 110%. Na pierwszym zjeździe młody Dobrowolski w sprawozdaniu, wygłoszonym przez radio wspomnianą po nazwisku o Malukowskiej, która do akcji skupu ustosunkowała się bardzo opornie, oraz gospodarza Batora, który sam będąc kulakiem, solidaryzował się z Malukowską, bronił ją, usprawiedliwiał. Z tego wszystkiego zapowiadała się mala chrzyna, doszły mnie słuchy, że Bator ogromnie na Dobrowolskiego rozsierdził, chce go skrzyżować i dochodzić za nazwanie kulakiem.

Ze zjazdu młody wrócił niewyspany, zmęczony nocną podróżą, ale radośnie podniecony. Ledwie się przebrał i zjadł śniadanie, przyszedł do warsztatu i przywitawszy się ze mną, powiedział: „zaraz panu coś pokażę” — pobiegł do domu, po chwili wrócił niosąc kilka książek i mały arkusz kartonu. Jużem się domyślał, że jest to pewnie odznaczenie. Przeczytałem: „Dyplom uznania za ofiarę pracę w kampanii skupu zboża i realizowaniu zobowiązań finansowych wsi”. A książkę jako nagrodę, wśród nich: Stalina „Zagadnienie leninizmu” i A. Schaffa „Wstęp do teorii marksizmu”.

Zjawił się i stary z fajeczką w zębach, obejrzał dyplom. Od dawna zauważyłem, że w chwilach wielkiego zadowolenia częściej niż zwykle pykał z fajeczką. I teraz też: pyk, pyk, pyk... Po chwili milczenia rzekł:

— To już taka „zaraza” w naszej rodzinie... Mój najstarszy, co w Jeleniej Górze magazynierem w składzie żelaza, już piaty raz przodownikiem pracy... A średni, ten w Odrzyżewicach, też magazynier w PPB, również dostał dyplom przodownika... I nawet zięć, co w Łądku w winiarni pracuje, także przodownik... To już taka „zaraza” w naszej rodzinie...

Rozesiliśmy się każdy do swojej pracy. Kociołek znów przywoził dwie tony ziarna. Pomagałem mu wyładować, zadawałem mu wory na plecy i za każdym razem odnosiłem niepokojące wrażenie, że do pełnego samopoczucia ciągle coś chłopa brakuje. W końcu zrozumiałem, co to chodzi: ostatnie dwa wory były najcięższe, ważyły po 100 kg. I dopiero teraz Kociołek podszedł się pod nie z pełną satysfakcją, kiedy dopasowywał plecy, nogi jego dopiero teraz uginały się sprężyste i z przyjemnością brały wysiadki nos, przechylił swą pyzatką okrągłą jak kieszę twarz, przypatrywał mi się chwilę z ukosa i nie powiedział, odszedł do wozu i pojechał. Zabawny chłop.

Już do samego południa nie godnego uwagi nie zaszło. Dopiero po obiedzie...

Brama od ulicy była otwarta, widziałem więc przechodzących i przejeżdżających tamtędy ludzi. W pewnej chwili ujrzałem na wozie Szporka ze Skrzynki i zaniem podniosłem rękę na znak, by się zatrzymał, sam sięgnąłem lewej: prrr... Moja bliźsza znajomość z nim datuje się od roku 1949, ścisłej mówiąc od czasu mojej przeprawy z sołtysiem i jego kłiką, kiedy to Szporek po dłuższym namyśle, zajął wobec nich stanowisko zdecydowanie wrogie. Jest to typowy chłopiek-roztropiek, dziesięć razy ważący swoje za i przeciw zanim podejmie decyzję, umysł trzeźwy i krytyczny. Przed wojną żył z 2-ch morgów ziemi i z zarobków w fabryce pudełek. Na zebraniach zabiera głos nie często, ale gdy się decyduje wystąpić, wypowiada zdanie ważne. Pamiętam taki epizod z zebrania gromadzkiego: Katuski, przedwojenny 20-hektarowiec spod Stanisławowa, jeden z zauszników kulaka Gajusa i dawnego sołtyś, zabrał głos w sprawie kontraktacji trzody chlewnej. Twierdził, że po dokładnym obliczeniu karmy i wszelkich kosztów związanych z tuczeniem świń, czysty jego zarobek wynosi 80 zł, co jest stanowczo za mało. Za mało, nie tylko dla niego, ale w ogóle dla gospodarza — wyrażnie to podkreślił. Bo Katuski, ten typowy reprezentant patriarchalizmu miał obyczaj przemawiania w imieniu swoich klientów — że niby tak, jak on — myśli wielu. Teraz nie ma już klientów, ale stary obyczaj pozostał i w pierwszym okresie wywierał nawet na osiedleńcach pewne wrażenie. Wydawało się, że Katuski bierze z obywatelskiego tonu...

Al Szporek inaczej rozumiał interes gromady. Odpowiadając Katuskiemu stwierdził więc najpierw, że według

jego obliczeń czysty dochód od 130 kilogramowego tucznika wynosi nie 80 lecz 140 zł, bo trzeba brać w rachubę nie tylko zimowy, ale i letni okres karmienia zielonkami, a zielonki takie jak koniczyna, lucerna, pokrzywa, kosztują grosze. A powtóre, dlaczego to Katuski wyjeżdża z czystym dochodem? On, Szporek uważa, że Katuski czyni to w bardzo nieczystych intencjach, chce zawrócić chłopom w głowie kapitalistycznym myśleniem. „Bo patrzcie, według Katuskiego tak trzeba by rozmawiać. Dalem śrutę, kartofle, kiszonkę, mleko itd., kosztuje mnie to tyle a tyle a za świńkią wezmę więcej tych kosztów niewiele. Jak więc mój zysk? Mały. I kłamie Katuski. Bo te kartofle, zboże itd. to moje przecież, towarowe, sprzedażne, czyli na koncie zysków zapisane od początku. A jeszcze przebrałem to w żywca, aby podnieść dochód gospodarci własnej i przyczynić się do uregulowania gospodarki narodowej.

Katuskiego nie nie obchodzi uregulowanie całej gospodarki w kraju? A dla nas było ono przed laty marzeniem bez nadziei. Teraz się dopiero spełnia. Robimy to, co z naszej ziemi potrzebne narodowi, a rolnicy robią to wszystko, co z ich węgla i fabryk potrzebne miastu i wsi. Na wzajemne zaspokojenie potrzeb teraz pracujemy. To jest to uregulowanie gospodarki w nowej Polsce.

I Katuski z tej strony znów chce nas okłamać, bo przecież w to zboże, kartofle, buraki itd. abyśmy mogli je wyprodukować i mieć zysk, idzie pomoc państwa w nawozach, kredytach, maszynach, a w nasze życie, żeby było przyjemniejsze i bardziej ludzkie, idzie nauka dla naszych dzieci, światło elektryczne do naszych domów, świetlice, gazeta, książka, radio i kino.

Tych pieniędzy to Katuski nie liczy. I tych nie liczy korzyści i pomocy, jakie idą w samą hodowlę, jak: śruta, węgiel, niższe w podatku i skupie, premie, kredyty. I to, co więcej też pomoć — uregulowanie naszej pracy: przez zamówienie i stały zbył, przez unormowanie cen, przez to wszystko, co broni nas od wyzysku, spekulacji i cykłów świńskich. Co daje nam pewność spokojnego jutra. Katuski chciałby na kontraktowanych świńkach zbijać majątek. Niech inni robią, a on se ino ręce w kieszeni, a brzuch, jak u rzeknika. Nie tędy droga. Staje nasz naród na nogi, to i roboty mamy w Polsce po uszy. A sadio, panie Katuski, niech rośnie u świni, a nie u hodowcy.

Bardzo sobie tym gadaniem zraził nie tylko Katuskiego, ale i Gajusa.

Dziś miał dla mnie ważną nowinę. — Ja właśnie miałem do ciebie wstąpić... — widząc, że spoglądam na wóz wyładowany węglem, dodał totem objaśnienia: — dwadzieścia metrów... to przydziałowy za kontraktowanie świń. A ty, co tu robisz?

— Śrutuję jęczmień.

— Dla kogo?

— Dla ciebie.

— Jak to dla mnie?

— Przepraszam, chciałem powiedzieć: dla twoich świń... Dla kontraktowanych. Na razie cztery tony, później będzie więcej.

— To tak gadaj. Prawda, ja się nawet dziś w spółdzielni pytałem o śrutę, powiedzieli, że za dwa-trzy dni mogę wykupić mój przydział.

— Co tam nowego w Skrzynce?

— Ha! — ożywił się nagle Szporek — chryja taka, że nie wiem... Właśnie chciałem do ciebie wstąpić i powiedzieć ci... Ty wiesz, że sklepowy Bryja ma 14.000 zł. manka?

— Czer-naś-cie ty się-cy? Jakże to możliwe? Kiedy się to wykryło?

— Przedwczojraj. Wpadli jacyś, zrobili niespodziewany remanent i 14-tysięcy brakuje.

— No dobrze, dobrze, ale skoro jest takie duże manko, to on nie mógł je zrobić w ciągu miesiąca, czy dwóch.

— Właśnie o to chodzi... Manko było od dawna, gadają ludzie, że od dwóch lat, tylko, że Bryja przy każdym miesięcznym remanencie latał dziurę jak mógł. Skądś pożyczal, podobno z mleczarni i prywatnie, a po remanencie oddawał. I tak co miesiąc.

— A coż komitet sklepowy? Nie wiedział o tym? I kto jest w komitecie?

— Ha, nie wiedział! Gajus by nie wiedział! On był od początku w komitecie, on Bryję zrobił sklepowym, choć ten ani dodawać nie umiał. Gajus miał w tym interes, żeby głupiego w sklepie mieć. A może Katuski nie wiedział, albo Koszewski? Oni trzymali Bryję w szachu, może mu pożyczali pieniądze na pokrycie manka, a za to ciagnęli z Bryi co się dało, i wodę i towar. Teraz chcą całą winę zwałić na kontrolera gminnego. A kontroler co? Przyszedł co miesiąc, widział, że pieniądze są, towar jest, to w porządku. Skądże on mógł wiedzieć, że Bryja na każdy remanent pieniądze pożyczają? O tym tylko komitet wiedział. No, ale sprawa idzie do prokuratora, to się wszystko wyjaśni i może ta nasza cholerna Skrzynka wypucuje się do reszty. Powinienes to w gazetach opisać.

W pierwszym liście mojej trzebieżowej kroniki („Na rampie”) zbyt optymistycznie ocenilem teraźniejszą sytuację w Skrzynce. Okazuje się, że Gajus, chociaż od pewnego czasu stracił swoje wpływy na terenie gminy i powiatu, zachował jednak „chody” w samej Skrzynce, tkwi jeszcze w komitecie sklepowym. Okazuje się, że jego wierni zausznicy, Katuski i Koszewski, też siedzieli w komitecie, a często-gęsto i przy gościnym kieliszku w mieszkaniu nieszczęsnego Bryi. I ktoś wie, czy się nie wykręca od odpowiedzialności, może zwał całą winę na swoją ofiarę, tj. Bryję, może na kontrolera gminnego? Faktem jest, że już teraz biją w zarząd Gminnej Spółdzielni i usprawiedliwiają się jakoby w ciągu dwóch lat nie wiedzieli o tym, że sklepowemu ciągle brakuje pieniędzy i że przy ka-

żdym remanencie musi szlukać, zażywać dziurę pożyczanymi pieniędzmi — a to przecież jest niepodobiestwo, zwłaszcza w takiej Skrzynce. Od kogoż mógł pożyczać Bryja co miesiąc grube pieniądze?

Ledwie pozeznałem się ze Szporkiem, gdy na drodze ukazała się nauczycielka Czapowa. „Prawda — przypomniałem sobie — miała po lekcjach przyjść do Ośrodka”. Jej twarz o grubych rysach znanomnie pewność siebie i psychiczne zaaklimatyzowanie wśród tutejszych warunków klimatycznych i ludzi. Jako partyjna aktywistka nieraz była atakowana przez trzebieżowickich zacofańców, ale o tych przykrościach opowiadała pogodnie, z humorem. Pewnego razu, gdy na zebraniu poruszyła sprawę wieczorowych kursów dla analfabetów wystąpiła przeciwko niej zły, zacietrzewiony gospodarz Grula: „jak chcesz, żeby analfabeci chodzili na kursa, to niech pani na ten czas przyjdzie do roboty na gospodarstwie”. W gruncie rzeczy Gruli chodziło o co innego: był na Czapową wściekły o to, że zaliczyła jego pole do najurodzajniejszych, a że nie mógł temu zaprzeczyć i musiał zdać zboże w ilości sprawiedliwie zaplanowanej, zemścił się wypowiadając pod jej adresem te niedorzeczne pretensje. „Ja już dobrze wiem, o co im chodzi, kiedy na mnie pyskują — opowiadała Czapowa — zawsze się za tym kryje jakiś kulakci uraz, choćby sprzed roku. Kiedy mnie Gal napadł w sklepie i ordynarnie przy ludziach zwymyślał o to, że chciała kupić poczochoy, od razu sobie przypomniałam: aha, przecież ja go zeszłego roku zmusiałam, żeby swojego pastucha posłał do szkoły i żeby mu sprawił nowe ubranie”.

Przyjechał o dziewięć — uprzedziłem jej pytanie o młodego Dobrowolskiego. Miała do niego dwie sprawy. Pierwsza — jak się już domyślałem — dotyczyła ataku Dobrowolskiego na Batora. Czy były istotne powody i jakie, aby Batora zaliczyć do kulaków? Bo Bator uważa się za pokrzywdzonego, rozglaszając wszem, wobec i każdemu z osobna, że będzie dochodził swojej „krzywdy”, wniesie skargę przeciwko Dobrowolskiemu, podobno był już w tej sprawie w Prezydium Powiatowej Rady.

Młody Dobrowolski odłożył drewnianą listwę na warsztat, spojrzał na nas poważnie, z rozmysłem i rzekł:

— Czy pani myśli, że ja robię coś bez zastanowienia? Bator jest kulakiem i ja to na zebraniu udowodnię. Pewnie, gdyby go klasyfikować tylko według hektarów, to jest średniakiem, ale... całe lato wyzyskiwał swojego parobka, ubrania mu nie sprawił, do Ubezpieczalni nie wpisał, jedzenia mu żałował, a na zimę wyrzucił z domu jak psa i teraz chłopak wchodzi się po wsi, nocuje raz tu, raz tam. A po drugie, ja dobrze wiem z kim się Bator zadaje, czym jest adwokatem. Niech on się żali, niech skarży do Rady Narodowej, a ja na zebraniu wygarnę mu wszystko, ho, ho, tu nie tylko on jeden taki, jest ich więcej. Ja wiem, że mi się odgrają, ale ja się nie boję. A teraz, po tym wrocławskim zjeździe, to już się całkiem nie boję. Taka szafka, zakute, ciasne bry, a tam świat otwarty, wielkie sprawy się dzieją. Tu też musi być inaczej i żaden Bator mnie nie zatrzyma.

W chwili tej, gdy patrzyłem na młodego Dobrowolskiego uderzył mnie taki szczegół: chłopak z wyglądu zewnętrznego nieczym, ale to nieczym nie

przypomina ojca, a jednak w tym momencie, gdy z mocą i pewnością głosił, że żaden wróg klasowy nie przeszkodzi mu w dążeniu do wielkich celów, twarz jego nagle, jak gdyby się otworzyła i ujawniła znany mi tak dobrze wyraz ojcowskiej stanowczości — rysy twarde, ostre i mocne. Pomyślałem sobie: „ten człowiek dotrzyma słowa, będzie bojownikiem o nową Polskę”. Może to samo pomyślała nauczycielka Czapowa, bo twarz jej rozjaśnił uśmiech tak charakterystyczny dla matek, podziwiających swoje uzdolnione dzieci. Uśmiech ten z trudem schodził z jej twarzy, znikł dopiero wówczas, gdy Czapowa przypomniała sobie o drugiej sprawie. Chodziło o przyjęcie Dobrowolskiego do Partii. Chłopak już dawno złożył wniosek, wypełnił wszelkie formalności i czeka. Czekając damennie. Sprawa jest niejasna nawet dla samej Czapowej. Wiadomo jej tylko tyle, że w Komitecie są towarzysze, którzy sprzeciwiają się przyjęciu Dobrowolskiego do Partii, ale kto i dlaczego się sprzeciwia, tego nie wie, bo nawet i sekretarz Kret nie udzielił jej w tej materii żadnych konkretnych wyjaśnień.

Młody Dobrowolski z uwagą wysłuchał słów Czapowej i w końcu uśmiechnął się młodzieńczo, konspiracyjnie i dumnie zarazem. Oczywiście on nie wiedział, kto mu sprawia przeszkodę i z jakiego powodu, ale widocznie uważał, że jeszcze nie czas na ujawnienie tych spraw. Nie mogłem się powstrzymać od zapytania, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa sekretarz Kret. Dobrowolski znów się uśmiechnął i nie odrzekł nic, tylko przytknął palcem w grydkę. Czy to miało znaczyć, że Kreta jacyś ludzie przekupują wódka?

Tu się dużo wyjaśni, gdy przystąpimy do zakładania spółdzielni produkcyjnej. Wtedy zobaczymy kto kim jest i w jakiej skórze siedzi.

Pożegnalem się szybko z nauczycielką Czapową i pobiegłem do śrutownika, który od dłuższej chwili stał bezczynnie. „Do licha, niewiele ja dzisiaj zrobię”. Grudniowy, wietrzny i pochmurny dzień już się kończył, wśród zabudowań mroczniało.

Stary Dobrowolski uwinął się rażno na swej protezie, dołączył kabel do motoru, zapalił odrutowaną żarówkę i zawiesił ją na ścianie.

— Może pan teraz śrutować nawet do północy.

Puściłem motor, wspaniałem wiadro jęczmienia do śrutownika i stanąłem w drzwiach magazynu, by się przyręć niesamowitym blaskom na zachodniej stronie nieba i chmurą, kłębiącym się na północy, gdzieś nad Skrzynką i Jaszową Górą. Brama od ulicy ciągle jeszcze była rozwarła i w pewnej chwili ujrzałem, przechodzącego sołtyś z Trzebieżowic, Szewkowskiego. Szedł przygarbiony, z głową wtuloną w kołnierz płaszcza i czapkę — baraniec. Nie umiem sobie wytłumaczyć dlaczego widok tego dzielnego, ruchliwego człowieka budzi we mnie niepokój i to nie tylko przy burzliwej pogodzie i złowrogiego zacierwionym niebie. I dlaczego przychodzi mi na myśl: gdzież ja go ostatnio widziałem, z kim, w jakich okolicznościach? Z sekretarzem Kretem?

Z Baturem? I dlaczego, prawem jakby jakiegoś kontrastu, przychodził mi na myśl młody Dobrowolski ze swym wielomówczym uśmiechem, oraz jego słowa: „zobaczmy kto kim jest i w jakiej skórze siedzi”.

Henryk Worcell

ZDZISŁAW POLSAKEWICZ

Kiedy traktory zdobyły wiosnę — co dalej?

SIEDMENAŚCILETNI Stanisław Wasilewski, syn średniaka spod Ławy, przeczytał półtora roku temu „Traktory zdobyły wiosnę” Zalewskiego. Była to jedna z pierwszych przeczytanych przez niego w całości książek. Książka przełomowa. Bowiem „Traktory” Zalewskiego wyciągnęły Wasilewskiego poza opłotki rodzinnego domu, tak rozpalili młodzieńczą wyobraźnię, że po kilku miesiącach średniacki syn ukończył kurs traktorzystów i przystąpił do pracy w POM-ie. Piękny przykład oddziaływania książki. Pisarz może być z niego dumny.

Idmy jednak dalej. Kiedy już także dla Wasilewskiego „traktory zdobyły wiosnę”, chłopak po roku czyta raz jeszcze ów zbiór reportaży. Ale czyta już inaczej. Po pierwsze zachwycie, jaki wzbudziła książka przychodzi teraz kolej na jej wnioskowe zgłębienie. I oto wniosek: „Książka i ładna, i dobra, ale przecież niecałkowita” — mówi chłopak. Niecałkowita? Tak.

Bo po rocznej pracy w POM-ie Wasilewski stwierdza, że „życie jest jednak bardziej bogate, a każdy POM-owiec i każdy chłop-spółdzielca ma przecież więcej spraw i kłopotów i radości, które go zajmują... Taki Stasiek Adamski nie tylko wyrabia 130 proc. normy na traktorze, ale ostatnio zakochał się w córce 10-hektarowego gospodarza — Marijsi Kaniównie, i dziewczyną wstąpiła przez niego do ZMP. Teraz prowadzi kółko miczurinowskie... I tak dalej, i tak dalej — chłopak sypie jak z rękawa przykładami, mającymi uwiarygodnić, że książka, choć dobra, jest „niecałkowita”.

Czegoż mu zatem brak, na co czeka?

Książka Zalewskiego spełniła i spełnia doniosłą rolę mobilizującą do pierwszego etapu socjalistycznej przebudowy wsi. Ale tam, gdzie ten pierwszy etap został osiągnięty, odzwierają się głosy, stawiające, jak

można się domyślać, dwa pytania. A więc — „coś więszego”. Rozbudzony reportażem czeka Wasilewski na powieść, bo reportaż „nie może pomieścić wszystkiego”.

Czy oznacza to niedocenianie tzw. „matych form”? Z pewnością nie. Wszak książka, która obudziła Wasilewskiego do nowego życia, była zbiorem reportaży.

Niemal 30 lat temu Maksym Gorki zachęcał pisarzy radzieckich do zajęcia się reportażem. Powszeczenie znany jest fakt, jak wielką wagę przywiązywał do reportażu literackiego w prasie Lenin. Pisarze radzieccy podjęli wezwania Gorkiego. Wśród prozaików wszyscy niemal zajęli się formą pisarską, uprawiając reportaż i krótkie opowiadanie publicystyczne. Szkoła reportażu stanowiła także często wspaniałą odesknię do większych form, do noweli, socrealistycznej powieści radzieckiej. O tę małą formę bezpośrewnych notatek bił się pisarz też miary, co zmarły niedawno autor „Szczęścia” Pawlenko. „Literackie” rozważania młodego traktorzysty z POM-u nie negują, przeciwnie podkreślają piękno i wartość reportażu o wsi. I jeśli zachęcają pisarza do pokuszenia się o większe formy, to równocześnie wyrażają oczekiwanie na reportaż z bieżącej chwili, przedstawiały i wyjaśnily takim Wasilewskim ich obecną sytuację i zadania.

Bo chociaż formy te nie dają obrazu „całkowitego”, lecz sygnalizują, a rzecz pisarza jest umieć najpierw każdy nowy etap sygnalizować. Bez tego nie można nauczyć się rozglądać życia w jego wszechstronnym, ustawicznym rozwoju.

P.S. Pisano o tym już wiele razy. Aby uchwylić ewentualny zarzut „wyśiadania otwartych drzwi”, przytoczyłem autentyczną wypowiedź z tym. terenu. Jeśli więc tam się o tym mówi, znaczy, że drzwi nie są jeszcze otwarte.

Zdzisław Polsakewicz

TADEUSZ MURAS

„BESTIA”

Nowa książka Władysława Kowalskiego



Władysław Kowalski

ZWIELKIM zainteresowaniem została przyjęta przez czytelników powieść Wł. Kowalskiego jego ostatnia publikacja p.t. „Bestia” (*). W książce tej, zawierającej cztery opowiadania, autor ukazał, jak klasa wrześnie była nieuniknionym losem zafacowanego gospodarza państwa kapitalistycznego, uzależnionego od obcego kapitału „Ignacy Drozd”, „Hitlerowski polip”. W końcowych partiach opowiadania „Ignacy Drozd” Kowalski uaoocnił, jak burżuazja polska wyzyskuje istnienie hitlerowskich władz okupacyjnych dla likwidacji polskich komunistów.

Opowiadania są skomponowane w ten sposób, że stanowią pod względem treściowym jednolitą całość. Obejmują zagadnienia niezbedne do zrozumienia istoty polskiego i niemieckiego faszyzmu. W utworach tych wykorzystował Kowalski bardzo ciekawy materiał rzeczowy i przedstawił go w sposób artystycznie przejrzysty i przekonujący. Np. spółka „Wszystko dla kraju”, która prowadzi handel z zagranicą, wywożąc z kraju cenne surowce, a przywożąc opłatnie na użytek masowego odbiorcy, doskonale obrazuje rabunkową gospodarkę, prowadzącą przez polską burżuazję. Albo inny przykład. Pracownicy, którzy dopuścili się nadużyć w firmie, są usuwani z pracy i... otrzymują posiady dyrektorów departamentów w Ministerstwie Handlu. Straty poniesione przez prywatne przedsiębiorstwo muszą być wynagrodzić w pracy na placówkach państwowych. („Ignacy Drozd”).

Takich przykładów z opowiadań „Bestii”, które w bardzo wymowny sposób charakteryzują stosunek polskiej burżuazji do gospodarki narodowej, można by przytoczyć więcej. Te dwa już w dostateczny sposób charakteryzują zasadniczą wymowę opowiadań.

Jeszcze wymowniejsze są obrazy, dotyczące polityki międzynarodowej polskiej burżuazji. Położenie Polski w sąsiedztwie ZSRR predestynowało ją do roli „przedmurza kapitalistycznego” świata. Samym tylko położeniem sanacyjna Polska zarabiała na uznanie państw europejskich. Spokojnie więc napychano sobie kieszenie zyskami. Niemcom polskim pozwalano na urządzanie hitlerowskich kursów szkoleniowych („Hitlerowski polip”). To, że Hitler ostatecznie nie chciał spółki z burżuazją polską w podziale spodziewanych łupów zdobytych na Związku Radzieckim jeszcze nie było dla niej takie straszne, choć stanowiło niejako niespodziankę. Konflikt Niemiec jako kapitalistycznego konkurenta z Anglią, Francją i USA napawał nadzieję powrotu „dobrych czasów”. Ostatecznie można na pewno czas zwać z kraju, a Hitlerowi i tak Zachód łeb ukręcił. Wtedy wróci się nie tylko na „swoje”, ale i można się będzie obłowić tym, co Niemcy zarabują w ZSRR. Kapitałski rozposierał przed Drozdem taką np. wspaniałą perspektywę handlu syberyjskimi futrami („Ignacy Drozd”).

Nasi potentaci polityczni, wiejąc w spokoju ducha z kraju, nie zapomnieli jednak o pozostawieniu sieci szpiegowskiej dla walki z rewolucyjnym proletariatem. Nie zapomnieli, że Hitler, przez wymordowanie Żydów i rozbiicia Związku Radzieckiego, może załatwić jeszcze jedną pożyteczną robotę: wykończyć polskich komunistów. Do takiej roboty chcieli wciągnąć Drozda. Ale Drozd wtedy nie był już takim „frajerem”, jak za czasów służby u Erwińskiego.

Najciekawsze zagadnienie literackie całego tomu spotykamy właśnie w o sobie Drozda; jest ono jednakże potraktowane w utworze zbyt powierzchownie. Bohater przechodzi od służalczej postawy wobec swojego zwierzchnika gen. Erwińskiego do oświeconego i świadomego buntu przeciwko polityce burżuazji. Bunt taki w warunkach, kiedy wszystko dokola świadczy przeciw faszyzowskiemu reżimowi jest zjawiskiem bardzo cennym. Ale proces dojrzewania człowieka do poziomu świadomości komunistycznej bywa w takich warunkach niesłychanie trudny i złożony. Człowiek mógł się buntować przeciwko burżuazji, ale w swoim buncie nie zawsze trafiał na drogę konsekwentnej walki. A jak było z Drozdem?

Drozd, woźny firmy „Wszystko dla kraju”, przystępując do generała całą duszą, dostatecznie głupi, żeby nada-

wać się na ślepe narzędzie do brudnej roboty w ręku ludzi wielkich interesów i polityki, w pewnym momencie doznaje oświecenia. General Erwiński wygadał się, że Polska nie ma broni do walki z Niemcami. Po wizycie u generała ten Drozd, którego polityka nigdy nie interesowała, wychodzi zorientowany w skomplikowanej grze ówczesnych interesów politycznych. Zanim doszedł do domu i położył się spać, zdążył w trakcie rozmowy wewnętrznych i rozmowy z żoną, ustalić swoje zasadnicze stanowisko polityczne:

Kapitałisci są zdrajcami kraju. Łupią podatki, rujnują naród oszukiwaczami spekulacjami, próbowali nawet pójść z Hitlerem na Związek Radziecki, tylko, że on ich do spółki nie przyjął. W tych warunkach jedynymi ludźmi, którzy reprezentują słuszny kierunek w polityce są komuniści. Należy więc po ciehu mówić ludziom prawdę o sytuacji, t. zn. zająć się antykapitalistyczną agitacją polityczną.

Trzeba niełada szczęścia, żeby człowiek tak mało uświadomiony jak Drozd, z jednej rozmowy z faszyzowskim generałem, wyniósł tak konsekwentny światopogląd polityczny. Do tego czasu nie mówili wszak nie Drozdom wszystkie wydarzenia, które mogły rzucić światło na niejedną sprawę. Po rozmowie z generałem patrzy na świat jak wytrawny polityk, nawet mówi językiem dziennikarskim; od tego też czasu żadnej już ewolucji ideowej nie przeszedł, tylko dokumentuje swoją postawę czynami. Zgłosił się razem z komunistami do obrony Warszawy i podziękował za pracę, gdy go chcieli wciągnąć do antykomunistycznej roboty w czasie okupacji. Podobną rolę odgrywa August Major w opowiadaniu „Hitlerowski polip”. Odpowiednikiem gen. Erwińskiego z „Ignacego Drozda” jest Jarząbek, który tak samo nieopatrznie zdradził Majorowi, że rząd polski jest filią rządu w Berlinie.

Mosiek, chłopak dwudziestoletni, wygłasza długie tyrady o burżuazji, o rządach robotniczo-chłopskich itp. Postaci pozytywne bohaterów są wprowadzone do opowiadań tylko po to, żeby przez ich usta wyłożyć cytelniki — często w publicystycznym sformułowaniu — podstawowe zagadnienia polityczne. Los osobisty tych ludzi, ich życie, troski i działalność schodzą na dalszy plan. To jest duży błąd artystyczny.

Autor, jako wieloletni działacz polityczny, wie doskonale, jak długo niejednokrotnie ludzie musieli się szamać ze swoim losem, nim życie nauczyło ich „jasno” widzieć „prawdę” o społeczeństwie klasowym. Dziś nauka marksistowska w pewnych zarysach opracowała podstawowe zagadnienia historii 20-lecia II wojny światowej. Ale naszej dzisiejszej wiedzy o tamtych czasach nie możemy przypisać większości ludzi, którzy żyli w czasie ogromnego zakłamania i działania kapitalistycznej propagandy. W opowiadaniach zamieszczonych w tomie „Bestia”, ludzie zdradzają często wiedzę o takich powiązaniach politycznych między dyplomacją polską i niemiecką, które odsłoniły dopiero dokumenty opublikowane w Polsce Ludowej. Służniestwym zabiegiem artystycznym byłoby ukazanie faktów i świadomości, jaką zdobywają ludzie w toku życia i działania.

W świadomości części społeczeństwa polskiego, nieprzychylnego do roli świadomego obserwatora wydarzeń, II wojna światowa pozostawia wrażenie jakiegoś kataklizmu, jakiegoś zamieszania i rozpętania ciemnych sił. Przykładem takiego zagubionego i zbłąkanego obserwatora jest Izrael Fogel, maltretowany Żyd, który ni krzyż z tego wszystkiego, co go otacza nie rozumie, mimo że czyni w tym kierunku duży wysiłek myślowy. Szkoda, że zaginęły dalsze części tego cyklu. Fragment zatytułowany „Opowiadania Izraela Fogla” jest bowiem zbyt pesymistyczny. Spojrzenie na własną tragedię od strony takiego człowieka, jakim jest Izrael Fogel, nie daje możliwości ukazania tej postawy u ludności żydowskiej, która doprowadziła do bohaterstwa oporu warszawskiego getta.

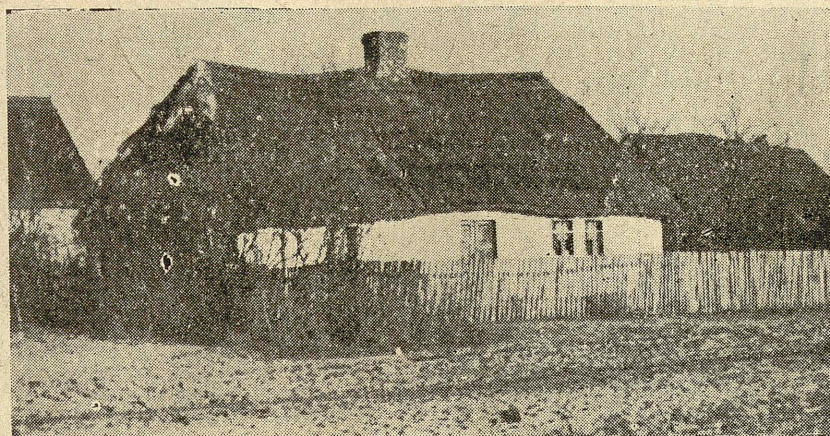
Zasługą autora jest to, że po przeczytaniu „Bestii” wiele problemów użytkowe właściwie wymiary. Konflikt „polsko-niemiecki”, który dominuje w wyobrażeniach przeciętnego człowieka, niknie. Na jego miejsce pojawia się — z jednej strony imperializm ze swymi metodami okupacji ludzi w celu wyzyskania ich do walki o interesy kilku wyzyskiwaczy, z drugiej zaś — walczący o wyzwolenie społeczne i narodowe robotnik polski, żydowski i niemiecki. Należy żałować, że tom opublikowany przez Kowalskiego nie zawiera opowiadania, w którym myśl walki z okupantem i polską burżuazją byłaby wprowadzona w życie. Wtedy to, co widzimy w pojedynczych bohaterach opowieści jako tlejące zarzewie, nabrałoby rozmiarów szerszych i jeszcze bardziej uwydatniłoby podział na tych, co walczący o niepodległość z bronią w ręku i tych, co strzelali zza węgła do bojowników o wolność Polski.

Mimo usterek artystycznych, które czytelnik z zaskoczeniem spotyka w książce autora „W Grzmiecie” czy „Bunt Starego Łęku”, opowiadania z tomu „Bestia” dają słuszną i przekonliwą interpretację „tragedii ludzkiej”, jaką była II wojna światowa.

Tadeusz Muras

*) Patrz: „Na rampie” (Wieś 52, 1951), „Stary Dobrowolski” (Wieś 8, 1952).

*) Władysław Kowalski, „Bestia”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1951 str. 206, wyd. 2.



JERZY HŁOND

Do Józefa Pogana

Towarzyszu Pogan!

Czytałem nieraz Wasze „Ugory”, „Cierpki owoc” i „Na głodnym żaglonie”. Dlaczego powracam do Waszych książek? Dlatego, że one przedstawiają dzieje chłopów — biedaków i zaginionych z olkuskiego, z Waszych i moich rodzinnych stron. I ja urodziłem się w kuczce, z matki zaginionej, z ojca zaś — proletariusza. Był on i jest nadal robotnikiem w pobliskiej kopalni „Kazimierz”. I tu się zaczyna drugi powód, dla którego wracam do Waszych opowiadań. Uświadomiłem go sobie, rozmyślając nad projektem Konstytucji. Wasz artykuł we „Wsi” bardzo mi w tym pomógł. Pisałcieś w nim, że „czyniąc rachunek wspomnień każdy z nas dopiero głęboko pojmie nową Polskę — republikę ludu pracującego”. Wasze wspomnienia (te w artykule i te w książkach) sięgają do lat przedwojennych, dotyczą tego okresu i ludzi Waszego co najmniej wieku. A ja mam dopiero 20 lat. I mimo kuczki, mimo matki-zaginionej, mimo ojca-proletariusza czas mojego dorastania nie ma już nic wspólnego z dramatem zaginionych Waszego pokolenia. Moje dojrzewanie przypada na lata rządów Polski Ludowej. I jest tak różne i tak przeciwstawne Waszej młodości, że bez Waszych książek nie wiedziałbym doprawdy jaką była oluska wieś w poprzednim pokoleniu. Wasze książki zmobilizowały mnie do świadomego wyrażenia chociaż w najbliższą tradycję chłopskiego życia w oluskim powiecie. Do pogłębienia wiedzy o kraju lat dziecińczych. To, że nie przestałem na opowiadaniach matki i ojca, zawiązujęch Was.

W tym roku kończę maturę i chciałbym dostać się na polonistykę. Wiersze i korespondencje do gazet zacząłem pisać przed czterema prawami lat. Próby te, samouka i niedouka, były „straszliwe”, ale korespondencje nie wstydziły się. Walczyłem w nich. Fakt. Jakże różny, Towarzyszu Pogan, w zestawieniu z 16-latkami Waszego pokolenia. W Waszych książkach ludzie cierpieli tylko, a moje pokolenie rewolucja uczyła, jak chleba powszedniego, walczyć i mieć wielkie ambicje. Ale i w Waszym pokoleniu walczone. Wy przypominacie ile to talentów z pod Ojcową zmarowało się przed wojną. „Co młodzi i wytrwali wystartowali w Polsce Ludowej”. Co to znaczy — „wytrwali”? Bo ja rozumiuję tak: walczyli przeciw okrutnym czasom i dlatego wytrwali. U nas np. Władysław Piętko nie mógł się uczyć za sanacji, więc zmarował talent? Albo Ignacy Waleśki ze Stawkowa, dobry mechanik-konstruktor. Albo jeszcze z Nivki taki Grabusz, talent rzeźbiarski... Dziś chłopcy cenią obrazki Piętki i Grabusza rzeźby. Nawet kopalnia „Kazimierz” zamówiła u niego pomnik górnikowi i z zamówienia wywiązał się znakomicie. O czymże mówią te fakty? Nie tylko talenty ożywały w nich Polska Ludowa, ale również twórczą wolę walki, jaka obroniła ich talenty przed zamarciem, a to znaczy, że była w nich ta wola walki, w innej postaci, wobec innych zadań i zmagani, ale była.

Jako Wasz uczeń w sztuce kochania i poznawania rodzinnych stron przestudiowałem kronikę szkoły powszechnej w Nivie. Najbardziej dumny jestem z tego, że ja w ogóle odnalazłem. Bo czy nie ważny to dokument?

W r. 1916 założono w Nivie 1-klasową szkołę. „Wioska jest mała, to też frekwencja dzieci nierzadka. Miejscowa ludność dba bardzo mało o szkołę, jak też o wykształcenie dzieci” — zanotował głupi nauczyciel. Bo w r. 1921, w roku złudnych jeszcze nadziei, zapisało się 81 dzieci ale do końca roku pozostało tylko 50. W r. 23 rozpoczęto naukę z miesięcznym opóźnieniem. Brak było kredytów na remont! W 1932/3 szkoła przechodzi na 2-klasówkę. Są to lata kryzysu. Chłopi zatrudnieni w kopalniach strajkują. Przez całe dnie i noce nie wychodzą z pod ziemi. Dzieci też nie ma w szkole. Poślano je do bogaczy i do pana leśniczego, Głowacza, sadzić leśne szkółki. Strajkującym i z kolei bezrolnym musiał pomóc dzieci. Z leśniczym Głowaczem idzie ręką z ręką i inspektor z Olkuszu, Fr. Niżyński. Pan inspektor przechodzi do porządku dziennego nad faktem nieobecności we wrześniu 25 dzieci na 61 (już nie 81 jak w r. 21), a w październiku 22 dzieci.

W 1937 r. szkoła organizuje Kółko Rolnicze, na czele którego staje kierownik Tarkowski, przyjaciel leśniczego i plebana Pluty ze Sławkowa. W r. 1937/8 nauczaniem objętych by-

ło 112 dzieci a uczęszczało tylko 62, nadto nie zgłoszono 21 dzieci. Oto mamy podwójny obraz — przyrostu ludności i w odwrotnym stosunku straszliwego obsuwania się młodzieży, poniżej progów szkoły podstawowej, poniżej 2 klasówek.

Kiedy najeżdżały na Polskę hordy hitlerowskie, miałem 8 lat. Gospodarkę okupanta i jego terror pozna-

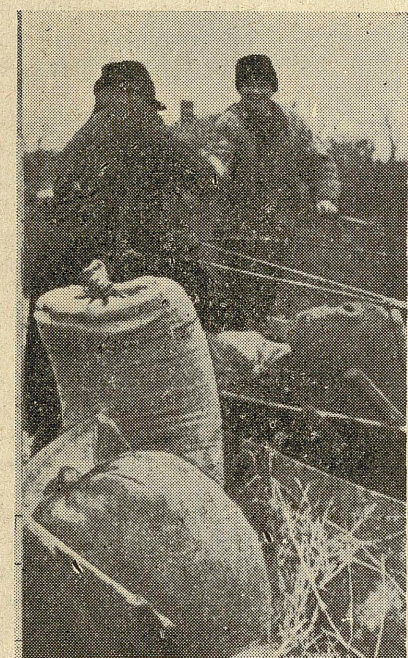


Foto AR

wałem — maled — w najbliższej mi okolicy w sposób szczególny. Widziałem bowiem i słyszałem najczęściej o tych ostatnich rękach, które przedzierały u nas łasyzm najeźdźcy, które poszły, zdając sobie, czy nie zdając sprawy, w haniebną służbę do okupanta.

Jak to widziałem? Oto do pana leśniczego Głowacza zjeżdżał co niedzielę hitlerowiec na polowanie. Huczało w leśniczówce, pito na umór i wivawowano, aż echo niosło. Czy p. leśniczy Głowacz urzędował wówczas w roli terroryzowanej ofiary? A jakże. Jeśli Niemcy odebrali chłopom z zagród ich własną cegłę i wybudowali panu Głowaczowi piękną willę i stajnię, stać się to mogło tylko na skutek próby oddanego sługi, tak sądzili ludzie. A jakże zrozumieć decyzję inspektora Miki, który odebrał krowy Piętko ze Sławkowa, Francowi z Krzykawy, Jarczykowi z Korzeńca i przydzielił je p. leśniczemu? Pana Głowacza nieraz widziałem na długich spacerach, jakie odbywał bryczką, zaprzęganą w dwa wspaniałe cuganty.

Soltyś Bychowski (z tej samej wsi) pilnie słuchał rad leśniczego. Razem wyznaczali kontyngenty. Razem decydowali o przydziałach. Na ich polach szumiało wysokie i gęste zboże. Identyfikacja politykę prowadził soltyś z Korzeńca, Herman. Któż był sprawcą aresztowania babki Materi Magdaleny z Nivki? Przez kogoż to babka zginęła w Oświęcimiu?

Cegielnia Garmulewicz w Sławkowie dymiała dniami i nocą. Garmulewicz obrabiał w tłuszczy i majatek a chłopom — robotnikom nie wolno było upomnieć się o swoją należność i słuszną stawkę.

Taką to przeszedłem szkołę uświadamienia klasowego i patriotycznego, wtedy, kiedy we włościwej szkole naukę pobierałem nieregularnie, z przerwami, w złych warunkach i przy słabym zainteresowaniu.

W naszej okolicy do ostrych starć dochodził podczas Referendum, w 1946 r. Mikołajczykowcy prowadzą



Foto CAF

zajadają agitację na rzecz polityki Londynu.

Mój kolega Dionizy Janeczek, nosił kartki do głosowania na Mikołajczyka. Osmieilił się przyjechać do naszego domu i ojcu mojemu, górnikowi z „Kazimierza” podetknąć pod nos. Było to w tym roku, kiedy ja miałem pójść do gimnazjum do Olkusza, kiedy takich jak ja wysypywały się dziesiątki z każdej wsi, z tych również wsi, o których Wy pisaliście Towarzyszu Pogan! Ze Skali, Słotowskiej, Pilicy, Wolbromia, Zarnowa... I wtedy to w Sławkowie rozlepiali „pełnomocnicy” Mikołajczyka, tacy — w gatunku — Głowacz, Hermanowie, Bachowsy — wielkie afiszę, agitujące za zdracą narodu.

W gimnazjum spotkałem się z koszmarem dogmatyzmu. Szkoła trząsał prefekt, Kapusta. Wszak w naszych okolicach, na nędzy i głupocie ludzkiej, mocne pobudowały bastiony plebanie. Świadczy o tym proces wolbromski. Ale powstało ZMP, a ja wstąpiłem do organizacji już z pewnym wkładem pracy korespondenta. Dlatego to spotkało mnie nie małe szczęście i wyróżnienie, kiedy w 1949 r. zaproszony zostałem na praktykę do redakcji „Gazety Krakowskiej”. Ale szczęście chodzą w parze z nieszczęściami. Ojca powaliła ciężka choroba. W tym zmartwieniu i moim dlatego głębiej i wnikiwiej ugruntowywałem wiedzę polityczną podczas praktyki redakcyjnej, uczyłem się dialektycznie ujmować zjawiska i przemiany. W tym samym roku ZMP wysłało mnie do Warszawy na kurs korespondentów prasy młodzieżowej. Tam wykładawcami byli towarysze Zarządu Głównego. Zrozumiałem wówczas, że młodzież tempowska, to i nasze, naszej Partii i ten tytuł, ten zaszczyt stoi przed wszystkimi innymi.

Jakże ważne było to przeżycie, skoro za powrotem, w obliczu ciężkiej choroby ojca, musiałem przezwyciężyć i rok pracować na wsi. Ten obrót rzeczy przyjąłem tak, jak się przyjmuje skierowanie na inny odcinek frontu walki.

Lata 1949/50 są u nas latami przełomu. Wójtował jeszcze w tym czasie Trzewiczek, bogacz z Borek. Wszyscy dobrze pamiętają, jak z balkonu gminnego budynku nawoływał do... walki z kulaktem na wsi. A sam był „dobry kumoter”. Chłopi a nawet radni przekonali się jednak (choć trochę przy pomocy korespondencji w prasie) czym pachnie wójt Trzewiczek, jaki to z niego zamaskowany wróg ludu spod znaku Mikołajczyka. Usunęto go z wójtostwa, oczyszczono rady narodowe z obcych klasowo elementów. Powstają pierwsze placówki handlu uspołecznionego, wypierając prywatną inicjatywę w naszym zakątku za górami i lasami. W gromadach organizują się kółka ZSCh.

W tym czasie wspólnie z młodym nauczycielem Otrębskim, organizuję wójskie koło ZMP w Nivie, działające nasza rozszerza się na okoliczne gromady. Wtedy pogłębiłem kontakt z KG PZPR w Sławkowie, biorąc udział w akcjach gospodarczych i politycznych. Wyjeżdżam z aktywnym partynym w wieś przeprowadzać agitację na rzecz skupu zboża, hodowli i spółdzielni produkcyjnych. Przyznam się, że nieraz czytałem własne wiersze... Miał to być dobry skutek, że chłopci słuchali mnie potem z większą uwagą. „Jak on pisze wiersze, to widać tak czuje od siebie, nie nakręcony chłopaki”. I mieli w tym pewną rację. Trudności w dowodzeniu i argumentacji ratowałem żarliwością, której tak często brak „urzędowo” przemawiającemu figurom.

W tym czasie, kiedy ze mnie jest pracownik na roli, agitator i korespondent, czytuje również namiętnie pisma literackie. Szczególnie „Wies” otworzyła mi szerzej oczy na sprawy wiejskie. Pomogła do odkrywania i stawiania problemów temu, który tonął w gąszczu faktów a nie wiedział, za które ogniowością. Artykuły i reportaże ze „Wsi” uczyły marksistowskiego zrozumienia i ujmowania zagadnień wiejskich. Również rozprawy krytyczno — literackie i historyczne dopełniały i zastępowały mi chwilowo szkolny kurs.

Rok 1951 w powiecie oluskim jest rokiem nowego przełomu. Na wsi oluskiej wzrasta coraz większe zrozumienie dla przejścia na gospodarkę zespółową. Przybywa fabryk chleba — spółdzielni produkcyjnych. Chłopi Łobzowa, Wierzbicy, Szczy, Tarnawy Dolnej, Nowej Wsi od dawna już gospodarują zespółowo i chwalą sobie. Odpowiedź, Towarzyszu Pogan, Haberkowa, przedownicz w Łobzowej, to Wam opowie, jaka to była radość przy rocznym obrachunku i rozdziale wyprodukowanych produktów, opowie Wam, jak chłopci nieczeszni jeszcze, patrząc na nasze spółdzielnie z podziwem. I tu — pozwólcie — że zgłoszę pewien do Was żal. Po wojnie przenieśliście się pod Katowice. Ja Was tam dognałem, bo kończąc gimnazjum w Katowicach. I tam Wyście w Zarządzie Oddziału ZLP zdecydowali o przyjęciu mnie do Kółka Młodych. Ale czy nie obaj winniśmy zachować ścisły i stały związek z naszymi rodzinnymi stronami? Wyście z okazji dyskusji nad projektem Konstytucji przypomniał



Foto E. Goławski

dawne dzieje Olkuskiego a z nowymi ich nie porównaliście. A na to czekał czytelnik. Na to czekał Wasz kraj i uczeń.

Piszcie powieść o spółdzielni produkcyjnej. Bardzo nas to cieszy. Bo spółdzielnia to walka na granicy dziś i jutra, to obraz tego, co jest istotą naszej nowej historii, co ją prowadzi i tworzy. Ale Wy przecież jesteście mistrzem opowiadania, tej malej sprawniej formy rekonstruansu przemian. Dlatego chcieliśmy Was czytać w pismach często, bieżąco. I właśnie piszącego o ludziach i kraju, z którego pochodził Wasze pamiętniki i kroniki czasów, upadających naszą okolicę i naszą biedotę. Pokażcie teraz, jak ci sami ludzie niepodobni są do siebie sprzed lat. Jak stają się integralną częścią narodu socjalistycznego. Inaczej mówiąc, piszcie na bieżąco ciąg dalszy Waszych kronik i portretów przemienionych ludzi z Olkuskiego.

W Waszym artykule we „Wsi” — gorzko wspominając przypieczętowanie zaprzeczanie się talentów w Waszych okolicach.

Towarzyszu Pogan! Nie tylko Was ocalała Polska Ludowa. Przybliżcie się do Ojcowskich stron a wówczas zobaczycie, że w Waszej rodzinnej wsi, w Jerzmanowicach powstała spółdzielnia twórczości ludowej, skupiająca wszystkich samorodnych artystów z okolicy. Tak się mają sprawy.

Pod Olkuszem buduje się gigant — hutę cynkową, która już w przyszłym roku będzie produkować. Tak, w naszym zapadłym kącie oluskim.

Ale o tym, Towarzyszu Pogan, Wyście powinni pisać! Bo od tego, który powiedział — było w oluskim tak — oczekują ludzie że powie — a teraz jest tak! Oczekują nawet więcej, że pomoże, aby teraz było inaczej!

Jerzy Hłond

WSPOMNIENIA

CZYTAJĄC projekt Konstytucji P. R. Ludowej zatrzymałem się nad 58 artykułem, by zastanowić się, jak to było za czasów sanacyjnych w moim dzieciństwie.

Ojciec mój, jako robotnik rolny, pracujący w folwarku Ogrody pow. Leszno, został pozbawiony pracy przez tak zwaną „terminatkę” mając na utrzymaniu 5 osób w tym 3 dzieci od 1 roku do 5 lat. Został wyrzucony na bruk. Nikt go nie zapytał co będzie robił, co da swej rodzinie jeść. Poszedł szukać pracy i dachu nad głowę. Pracy stałej nie znalazł, dorywczo pracował kilka złotych, by móc wynająć mieszkanie u kamienicznika. J. Wrony za wysokim czynszem mieszkającym. Mieszkanie było w podwórzu, w kuchni trzeba było palić cały dzień lampę naftową, gdyż nie było okna, natomiast w pokoju panowała okropna wilgoć i grzyb, a pod oknem był zlew, skąd wszystkie wyziewy kanalizacyjne buchały na pokój.

Praca, którą mój ojciec dorywczo odrabiał nie wystarczała na wyżywienie, a co mówić o zaplaceniu dzierżawy. Zostaliśmy wyrzuceni z całej rodziny na tak zw. „Zameczek” 2 km za miastem, gdzie wszystkich takich, jak moja rodzina umieszczali. Warunki mieszkaniowe były nie do opisania. Domy bez okien, bez drzwi. Chcąc dostać się do siebie trzeba było przechrząknąć przez cudze mieszkanie. Ojciec bez pracy zaczął chodzić po przoszoną, matka zapadła na gruźlicę i w r. 1922 zmarła. Ja mając wówczas 3 lata chorowałem na angielką chorobę. Dźwigałem przed sobą olbrzymi brzuch, a nogi moje wyglądały jak by je ktoś specjalnie wyginał.

Po długim poszukiwaniu ojciec znalazł pracę, jako sezonowy robotnik na torze i musiał dojeżdżać do pracy po 30 i 40 km, aby nie opuścić dnia pracy w obawie przed zwolnieniem.

Ojciec ożenił się drugi raz, aby dzieci miały matkę, lecz niestety i matka zmuszona była pracować. Pracowała, jako pracząca, nieraz stała przy balii po 3 dni za parę groszy. Dopiero gdy Armia Czerwona, a przy niej Wojsko Polskie oswobodziły teren naszej Ojczyzny, a klasa robotnicza objęła rządy w swe ręce, ojciec otrzymał pracę stałą i nie obawia się, że mu ją lada chwila odbiorą. Matka przestała pracować poza domem. Ja natomiast po ukończeniu szkoły powszechnej i zawodowej, rozpocząłem pracę.

Zakładałem swe ognisko domowe nie w takich warunkach, jak moi rodzice. Synowie moi mają odpowiednie mieszkanie, chodzą do przedszkola, co umożliwia rozwój dziecka.

Dzięki temu, że naszą Ojczyznę rządzi klasa robotnicza przy współudziale chłopstwa pracującego, otrzymałem awans społeczny, sprawując stanowisko sekretarza PKW ZSL.

Projekt Konstytucji P. R. Ludowej w artykule 58 zapewnia każdemu obywatelowi prawo do pracy i do wynagrodzenia. Artykuł ten jest ukoronowaniem osiągnięć klasy robotniczej oraz gwarancją przyszłości Polski Ludowej.

Edmund Roszyk

pow. Międzybóże, woj. poznańskie

II

URODZIŁEM się dnia 15 maja 1906 r. w Gajach Smoleńskich, pow. Brody. Ojciec mój był malarzem chłopem, posiadającym 1/2 morgi ziemi, pracował w tartaku obszarńniku Szmida. Pochodzenia chłopskiego była również matka, ojcowizna miała 1 morgę.

Dzieciństwo spędziłem w rodzinnej wsi, od 6 lat zacząłem uczęszczać do szkoły w Brodach odległej 7 km, do której ojciec przez protekcję mnie zapisał.

Naukę przerwała pierwsza wojna światowa, wówczas stałem się pastuchem gromadzkim w Kaźmierach, pasłem ok. 30 krów za liche wynagrodzenie oraz za to, że ziemię mego ojca obrabiali byle jak posiadacze koni. Ojciec był na wojnie. Rodzina składała się z 3-ch chłopów i 5-ciu siostr, matka nie mogła sobie dać rady z zaopatrzeniem nas w odzież i obuwie, pracowaliśmy poza matką w gospodarstwie.

Po przesunięciu się walczących armii, znowu zapisała mnie matka do szkoły do III klasy, za to, że mnie przyjęło, nosiłem codziennie 1 litr mleka dla pana dyrektora szkoły ob. Kłodziejczyka mimo, że my 8 dzieci tego mleka prawie nie pili.

Tylko 2 siostry oraz 1 brat chodzili w tym czasie do szkoły. Moja matka nie ustawała w pracy i stale mówiła, uczcie się, bo ja wam nie będę mogła nic dać, jako wiano, co

sami zdobędziecie, będzie waszym majątkiem.

Pamiętam, że w Konstytucji z marca 1921 r. także było powiedziane, że obywatele mogą się uczyć, jednak w tym czasie chodziłem do V klasy szkoły powszechnej bosą, niosąc strzępy obuwia na ramieniu, które dopiero ubierałem przy wejściu do miasta.

Otworzyła się bursa dla dzieci, daleko mieszkających, mimo prób moich rodziców, nie przyjęło mnie, bo żądali wygórowanych opłat w naturze, czego ze względu na liczbę rodzeństwa i odbudowę zniszczonego wojną domu, wykrócić z gospodarstwa nie mogli. Stypendium wówczas nie przyznawano. Pomimo trudności, uczylem się wg. oceny nauczycieli b. dobrze, ukończyłem szkołę powszechną w r. 1923. Pragnąłem dalej się uczyć — złożyłem prośbę do Państwa Liceum w Krzemieńcu.

Przyjęty zostałem do Liceum nauczycielskiego, zdałem egzamin wstępny b. dobrze. W początku roku szkolnego wezwano mnie razem z ojcem do dyrekcji Liceum, ówczesny dyrektor ob. Czyżda powiedział: „Syn zdał egzamin dobrze i został przyjęty do Liceum, jednak do internatu nie może być przyjęty z powodu braku miejsca, tymczasem weźcie go do domu, niech pracuje w gospodarstwie”.

A miejsca w internacie było dużo, ale dla ludzi uprzywilejowanych. Zrezygnowaliśmy po 3-dniowym szukaniu możliwości mieszkania lub wciśnięcia się do internatu, powróciliśmy do domu, zacząłem szukać zawodu.

Otóż mimo świeżo ogłoszonej Konstytucji 1921 r. o prawie do nauki synowie chłopów biednych, pomimo zdolności byli usuwani, dla bogatych, którzy mieli środki materialne, dla nich to było prawo do nauki.

Zamartwiali się rodzice, szukali innej możliwości.

Wybrałem zawód mechanika, ale nikt nie chciał syna chłopskiego przyjąć na naukę rzemiosła.

Dopiero po 6 miesięcznym poszukiwaniu moim i ojca znalazł się człowiek, który przyjął mnie na naukę ślusarza — mechanika. Dostałem się do kierownicz warsztatu ob. Szmida G. w Brodach przy 2-ch krowach, 1 koniu i 2 wieprzach, do tej pracy doszło nas dwóch synów, chłopskich. Hnit Józef i ja. Przez pierwszy rok nauki dowiedziałem się bardzo mało, pracując na roli u pana kierownika oraz w dodatku ojciec jeszcze płacił a konto nauki.

Mimo wprowadzenia 8 godz. dnia pracy wykorzystywał nie tylko nas uczniów, ale i czeladników, zmuszając do pracy ponad 10 godz.

Skargi nie pomagały, bo pan kierownik miał „plecy”, jak mówił mój ojciec.

Władysław Kaźmierczyk
Trzcianka, woj. poznańskie

III

WIES Golice pow. siedleckiego. gdzie się urodziłem i wychowałem była przed wojną zamieszkała przez chłopów biednych i średniorolnych. Dziadkowie nasi przed 50 laty mieli działki od 15-tu do 30 morgów, ale w dalszych latach, w wyniku rozpisywania tych działek na coraz mniejsze części, potworzyły się działki po 2, 3, 5, 8 morgów i w dodatku w szachownicy do tego stopnia, że działka 2 morgowa była szerokością 3 m a 1,5 km długo. Wielu w naszej gromadzie w ogóle nie posiadało ziemi, musieli więc pracować u bogatych sąsiadów, a dzieci ich rok rocznie pasły krowy u kulaków w sąsiedniej gromadzie Krześlin. Dla przykładu podam, że w rodzinie Pachekich, przewanych Jackami, jak było 4-ch synów, to wszyscy od dziecka pasali krowy u kulaków. Dlatego tak się działo? Prosta rzecz, nie było pracy w miastach i przemysle, a obszarnicy za dużo ziemi mieli w swoim posiadaniu i za mocno ją trzymali w swoich rękach, żeby chłop bezrolny i malorolny mógł lepiej żyć. W naszym kraju rządził fabrykant, bankier, obszarńnik, kupiec i kulak, uciskając robotnika i chłopca. Przed wojną chłop nie tylko fizycznie był głodny, bosi i nagi, ale i duchowo. Wielu w naszej wsi nie umiało czytać i pisać. Mój ojciec chodził do szkoły tylko 3 dni. Ciemnota i nędza olbrzymiej większości chłopów oto cechy bytu w okresie międzywojennym. A co mamy dziś? Wrota do pracy i nauki są przed nami otwarte wedle upodobania. Dziś praca nas szuka, a nie my jej. W którą stronę się nie obrócisz, to wszystko tętni, buduje się, rośnie. Dziś w Golicach nie ma Jacków pasących krowy i służących u kulaków. Wszyscy mają pracę i zawód, a kulacy w Krześlinie sami musieli się wziąć do pracy i „nieboraki” martwią się, że dawne dobre czasy nigdy nie wrócą.

Stanisław Podnieśliński

pow. Przasnysz woj. warszawski

*) „Poza nami jest straszna przeczność”. Wies Nr 6, 1951.

BOGDAN WOJDOWSKI

O KUNST SŁOWA POETYCKIEGO

Istnieją powieści, nawet wielkie powieści, zawierające całe rozdziały chybione, które wbrew temu czytamy z niesłabnącą satysfakcją, by niejednokrotnie jeszcze do nich powrócić. Inaczej rzecz się przedstawia w liryce. Jedna niestrawna strofa kładzie cały wiersz. Duża nośność poznawcza prozy powieściowej dopuszcza istnienie partii artystycznie „puszczonych”. Wewnętrzna dyscyplina poezji, warunek lirycznego skupienia, kondensacja środków wyrazu — stawia przed poetą wygórowane wymagania. Poezja przemawia skrótami. Symbol, przenośnia, porównanie to nie innego, jak właśnie skróty właściwe mowie wiązanej. Jest rzeczą jasną, że skróty wymagają wielkiej precyzji myślenia, aby stały się czytelny i jednoznaczny. Wbrew pozorom, logika obowiązuje poezję w nie mniejszym stopniu co prozę. O tym zdają się zapominać niektórzy autorzy.

Zarzut, jaki należy wytoczyć Arnoldowi Ślucickiemu, sformułowałbym w ten sposób: poeta zbyt często ulega niekontrolowanemu kaprysom wyobraźni. Cały szereg utworów zawartych w tomiku*) świadczy o tym, że mimo tych wszystkich mankamentów, które pragnę w pierwszym rzędzie oświadczyć, gdyż zwalczanie ich stanowi moim zdaniem conditio sine qua non dla dalszego pełnego rozwoju poezji Ślucickiego, autor potrafi czuć nad swoją strofą, nad właściwym biegiem obrazem i podporządkowywać je konsekwentnie swym zamierzeniom ideowym — tematycznym. Mam na myśli przede wszystkim marszową „Kantatę”, wiersz zatytułowany „Brygadzie im. Hanka Sawickiego”, przemawiający do czytelnika wewnętrzną pogodą i siłą moralnego wzoru przeświecającego obrazy nowej rzeczywistości, które Ślucicki z prostotą i dużą oszczędnością środków powiazał unikając zbytecznego gadulstwa i taniej pseudoliryczności. Tutaj wymienilibym również rozprawę z Miłoszem („Dezert”) oraz zwięzłą balladę o drodze awansu społecznego młodej dziewczyny („Odjazd”) wreszcie zwrótną — pełną pletyzmą wiersz o Kochanowskim („Rzecz o tradycji”).

Rejestr pozytywnych pozycji tomiku byłby bez wątpienia pełniejszy, gdyby nie to, że cały szereg na ogół poprawnych i sensownych utworów skazanych jest bakylem niedopracowania artystycznego.

Pragnę na tym miejscu uczynić jedno zastrzeżenie, ażeby nie wzbudzić nieporozumień. Jeśli pozwalam sobie na wytknięcie takich czy innych niepokojących objawów w warsztacie poetyckim Ślucickiego — nie czynię tego w celu obrony doskonałego rzemiosła artystycznego w ogóle. Takie-

*) Arnold Ślucicki — Słonce nasz towarzysz. „Czytelnik”. 1951.

go nie ma. Usiłuję tylko zbadać trwałość i skuteczność środków wyrazu dla założeń ideowych i celów, jakie sobie poeta stawia.

Pierwsze co narzuca się przy lekturze tomiku to łatwość, zbytnia łatwość lirycznego wzruszenia. W trop za tym nadaje się optymistyczny sprawa, że na sprawy skądinąd nam bliskie, problemy nieobojętne wiersz często nie potrafi nam szeroko otworzyć oczu. Wiersz „W moim mieście” zobrazować ma proces odbudowy Warszawy, wzbudzić w czytelniku uczucie zrozumiałej dumy z ofiarności naszej klasy robotniczej, z tempa rekonstrukcji.

Troskę nie łatwo zetrzeć z twarzy. Czasem przylgnie nieczym osad, lecz kto odbierze spokój dioniom, Które ruszyły bryłę... z posad!

I cóż z tego, że na wypadek zarzutu o płytki optymizm poeta zaasekurował się „troską”, którą „nie łatwo zetrzeć z twarzy”, kiedy ogólnik zamykający strofę liczy już sobie dobrych sto lat z okładem i do tego na tym miejscu, mówiąc łagodnie, nie nie mówi. Nie tak chyba należy wykorzystywać doświadczenie tradycji poetyckiej. Kurczowy literalizm zawsze najeżony jest groźbą anachronizmu. Niekropowana nieczym łatwość lirycznego wzruszenia wywala w wierszach Ślucickiego banal. Nieprzetworzone hasło transparentowe bez specjalnej wymowy, („Komuny nieulekły żołnierz” — s. 10) nieprzetworzony motyw banalnej skądinąd piosenki („w oknach przegląda się tramwaj” — s. 19), wreszcie tu i ówdzie zapożyczona, jak to miało miejsce wyżej, formuła poetycka świadczą o pewnym uśpieniu czułości artystycznej Ślucickiego. Zbanalizowanie środków wyrazu sprawia, że niektóre z wierszy nie odnoszą zamierzonego skutku — nie mobilizują emocjonalnie odbiorcę, tak jak tego wymaga powaga podejmowanych przez poetę tematów i stawianych utworom zadań. Na przykład „Ballada o żołnierzu Komuny” zawiera taką oto strofę:

Jeszcze Komuna walczy karabinami parzą dionie. Ranny garibaldczyk chwieje się na koniu.

Zrytmizowana narracja, pozbawiona metafory, goła i sucha w gruncie rzeczy — oto jedna ostateczność w jaką wpada poezja Ślucickiego. Na drugim krańcu straszy upiór konceptualizmu. „List do przyjaciół w Kanadzie”:

Jeżeli płyte wyrwać z chodnika gdzieś w Winnipeg czy Ottawie, Ziemię przewiercić na wskroś i przeniknąć wzrokiem —

Co wówczas ujrzycie? — Naturalnie, kraje demokracji ludowej. Bez-

wiedne trzymanie się poety tych metod obrazowania nie sądzę, żeby wyszło na dobre jego ambitnej poezji.

„W mojej dzielnicy” w zamierzeniu autora odzwierciedla jeden odciinek budownictwa socjalistycznego — budowę domu kultury fizycznej. W przybliżeniu konkretnego faktu może przełamywać się ogólny proces historyczny. Ale jaki rezultat? Pierwsze co razi w tym wierszu to dążność do udziwniania obrazu („dzielnica garbatych krawców”) oraz równoległa metoda anonimowania („dom urosł pod kielnią szybkim murarzem”). O tych „murarzach” nie wiemy nie ponadto, że dom im „urościł pod kielnią”. W „dzielnicy garbatych krawców” nikt ich nie zna. Jest coś z gruntu niewłaściwego w tak przedstawionym budownictwie. Obraz socjalistycznego procesu pracy musi skupić się przede wszystkim na człowieku, a wówczas poeta na pewno uniknie sformułowań w rodzaju: „między garażem a Wisłą rewolucji gmach dźwiga się...”. Chybione jest tutaj oczywiście zamknięcie uogólniającego „gmachu rewolucji” w ściśle wyznaczonych granicach... „między garażem a Wisłą”. To nie jest kwestia subiektywnego odczucia; obraz grzeszy naruszeniem logiki artystycznej.

No a to nie znaczy już nic: I jak radiowa skrzynka pełen jesteś szczebiotu i głosów; nieczym miasto się w tobie budziło łoskotem ulic tuneli i mostów. (Poranek powszedni)

Konfrontując zawartość obydwu tomików*) Arnolda Ślucickiego dostrzegamy kierunek ewolucji jaką przechodzi jego twórczość. I wydaje mi się, że to co dzisiaj razi w wierszach poety, co niekorzystnie odbiło się na jego technice obrazowania, tkwi swymi korzeniami w błędnych koncepcjach poetyckiego debiutu.

Trudno się zgodzić z całkowicie negatywną opinią, jaką wydała Janina Preger w „Nowej Kulturze” o pierwszym tomie Ślucickiego — „Ziemia jasnieje”. Wskazać można bowiem kilka wartościowych utworów tego tomu, przede wszystkim „Piosenkę 1944”, „Budarino” a więc wiersze o tematyce wojennej. Kiedy za to dochodzimy do utworów o tematyce współczesnej — przykładów brak. I to jest w pełni wytłumaczalne. Przedstawienie warsztatu poetyckiego nie może się obyć bez strat. To obserwujemy u wielu, jeśli nie większości poetów. To musiało zaważyć i na rozwoju poezji Ślucickiego.

Jednocześnie jednak niesposób pominać milczeniem ambitnych prób podjęcia tematów aktualno — politycznych — „Moja mowa na kongresie

*) Arnold Ślucicki. Ziemia jasnieje. Książka i Wiedza. 1950.

pokoju”, „Do Mao Tse - tunga”, „Pieśń modeńskich chłopów” — czy też aktualno — produkcyjnych — „Poranek na Mariensztacie”, „Most na trasie W—Z”. Nie kruszyłbym kopii o doskonałość tych utworów, ale jedno jest pewne: pierwszą linią walki nowej poezji jest natarcie w kierunku nowego tematu. Tylko rozszerzenie zainteresowań tematycznych jest rzeczywistą zapowiedzią jej rozwoju.

W „Ziemia jasnieje”, jak już wspominałem przycałży się błędne koncepcje, które obarczyły poetę ciężkim mu balastem. Jeszcze większą rolę gra tu kaprys wyobraźni. Wiersz jest tu jeszcze silniej uwikłany w nagłe skojarzenia. Podpatrywanie drobnych prawd, związków ubocznych między zjawiskami nie sprzyja realizmowi poetyckiemu, musi pchnąć poetę w objęcia formalizmu. Od chaotycznego podpatrywania świata do łamiętek formalistycznych prowadzi wszak tylko krok. Te skłonności przejawiają się w takich utworach jak: „Nazywam cię światłem”, (gdzie czytamy: „Srebrny śmiech ledwie zastępnął na wargach troski umarłej”) lub w „Słowach wiązanych”, „Pożegnaniu”, „Balladzie” i innych. Metaforika wczesnych wierszy Ślucickiego opierająca się na zasadzie prawa dowolności skojarzeń wydała swoje żgubne owoce, które nie tylko oszpeciły debiut, ale zakrzydły się do drugiej książki poety. Możliwość poznawcze tej metody są niezwykle wąskie. Siła emocjonalnego oddziaływania — znikoma. Tam gdzie autor przy jej pomocy usiłował odzwierciedlić obraz zbrodni faszystowskich („Ballada”, „Śmierć dziewczynki podczas nalo-”) lub sformułować protest anty-imperialistyczny („Wziewienie Ireny Joliot - Curie”, „Wiersz o miłości, kwiatach i polityce”, „Fantazja anty-imperialistyczna”) ponosił uroczystą klęskę. Ta metoda nie daje pocie zmięrczyć się z faszystem twarzą w twarz, pozwala jedynie na smętne rozpamiętywanie jego okrucieństw.

Środkiem płońcyganka, Płońcy siostra moja, widziadło barwne;

Aj, lu lu, sen niedobry, Aj, lu lu, siostrzyczko z popiołu.

W tej „Balladzie” jest tylko beznadziejny lęk, który nie potrafi się zdobyć, ani na jeden odruch protestu wobec potworności faszizmu.

Nie trzeba dowodzić, że takie poetyckie widzenie świata, że taka metoda obrazowania jeszcze mniejsze nadzieje rokuje w zastosowaniu do problematyki naszej współczesności. I fakt, że Ślucicki w dużej mierze świadomie wyrzeka się dawnego warsztatu, czego dowodem jest „Słoneczko nasz towarzysz”, pozwala ufać w dalsze doskonałości się jego kunsztu poetyckiego.

Bogdan Wojdowski



Rozuchy

Honoré Daumier

WIKTOR HUGO

L U X

Wizjo przyszłości! jutro słoneczne!
Z pustynnych szlaków schodzą bezpieczne
Ludy wydarte otchłani.
Gdzie piach jałowy, dziś bujne błonie,
Ziemia podobna jest tkliwej żonie,
A człowiek jak zakochany!

Gdy wzrok dzisiejszy wzniosę nad ziemię,
Widzę wyraźnie tamto marzenie,
Co będzie rzeczywistością.
Ze świata spadną okowy wszystkie,
Wstręt — minionego będzie nazwiskiem,
Jutro nazwiemy miłością.

Rodzą się z naszej dzisiejszej nędzy
Braterstwa ludów jutrzejsze więzy.
Jak owad światłem promienia
Zbudzony, postęp nad smutkiem ludzi:
Pszczółka ciemności dla nas się trudzi,
By zebrać szczęście z cierpienia.

Patrzcie, noc gaśnie! W blasku marzenia
Świat się wywala z niewoli cienia,
Pamięć Cezarów mu zbrydła.
A nad ludami co wierzą w siebie
Na lazurowym rozłożył niebie
Pokój szerokie swe skrzydła.

Widzę cię Francjo zmartwychpowstała!
Po wielkiej zbrodni wół suknie białą!
Skonczona cierpień twych pora!
Praca wre w kuźniach, dźwięczą kowadła,
Na krzaku róży wdzięcznie usiadła
Wesoło nucąc sikora.

Rdza na śmierć zżera strzelby i działa.
Z waszych kartaczy nie pozostała
Tak nędzna bodaj kruszyna,
Którą by można, panowie butni,
Zaczerpnąć tyle wody ze studni,
By się napila ptaszyna.

Znikły urazy. W sercach się budzi
Wspólne uczucie dla wszystkich ludzi,
I jeden pali ich ogień.
Z serc ludzkich powstał bukiet wspaniały
Mocno go boskie ręce związały
Sznurem od dzwonu na trwogę.

Światelko błyska w niebieskiej dali.
Czy je widzicie, jak ciemność pali
I rośnie czerwieniejące?
O republiko rozległej ziemi!
Dziś jeszcze jesteś więzłą promieni,
A jutro wzejdiesz jak słońce.

Jersey, 1853. przełożył Zbigniew Bielski

wydawać pieniądze, uzyskuje wszechstronną motywację polityczną, pozwalającą na wszechstronne naświetlenie faktu.

Jak widać — nie do braków samej metody należy sprowadzać pomyłkę wczesnego okresu i niektóre obecne niedomogi poety. Oskoczenie i dygresje pełniły rolę niszczącą dla konstrukcji utworów, gdy uwalniały fakty w nic nie znaczące odnośniki — pełnią natomiast rolę twórczą, gdy są tym faktem podporządkowane, gdy wyjaśniają, szerzej naświetlają zawiłą sploty wypadków. Tam mieliśmy ucieczkę od spraw „niepoznawalnych” — tu wysiłek poznania życia.

W bezpośrednim związku z formowaniem się linii ideowo — tematycznej utworów poety, kształtowało się też to, co nazywamy kształtem artystycznym. Dawny wiersz Wirszy, to wiersz, którego nie kępiają żadne określone wymogi formalne, tak jego oddaje konsekwentnie ów bardzo swobodny łańcuch skojarzeń myślowych. Język naładowany mnóstwem nieoczekiwanych i niezrozumiałych zestawień, przesycony wymyślnymi przenośniami — łączy równie konsekwentnie ów wiersz z jednej strony od jakichś ogólnopoznawczych sformułowań — z drugiej od jego odbiorcy. Dopiero „Polemiki i pieśni” mówią o zdecydowanym wysiłku narzucenia wędzida wierszowi w ślad za narzuconym go faktem. Ów wiersz, najchętniej wolny, uzyskuje pewną harmonijność przez zachowanie wewnętrznej rytmiki — pojawiają się dalekie utwory stroficzne, wkracza wreszcie i rym. W „Traktacie polemicznym” stanowi on jeszcze dla poety wyraźne utrudnienie i odczuwany jest, jako forma obca — coraz lepiej używa go autor w „Koszie łodzi podwodnej” — zupełnie już przekonywająco

Andrzej Drawicz

ANDRZEJ DRAWICZ

Od starego ku nowemu



Witold Wirszy

Nowowydany tomik utworów poetyckich Witolda Wirszy wykazuje dalszy postęp na drodze, którą obrał poeta już jakiś czas temu. Kierunek jej przebiega pod znakiem odwrotu z pozycji, na których tak mocno jeszcze tkwiły pewne odłamy naszej poezji w pierwsze lata powojennych. Początki owej drogi dał nam się wyśledzić już gdzieś na przedmieście roku 1948. Ostatnio utwory zbioru „Sonata”, a zwłaszcza „O duchu praw nowych” dowodziły, że poeta zaczął już w ślepy zaulek niewiary w możliwość takiego pojmowania rzeczywistości zaprowadził autora formalistyczne manowce.

Niech mówi o tym sam poeta: „Kraj naiwności, nieprawdaż polana cudów, nieprawdaż tu się jedynie poeta śięjący kolory siłom wędrujący po gruzach jak po błyskotkach jarmarku kramarz wystraszony zabłąka”. („Grecja zwycięzców”) Ta postawa „wystraszonego kramarza” powoduje konsekwentnie, że każdy fakt wzięty z rzeczywistości sta-

nowi dla poety jedynie pretekst do ucieczki od niej — do budowania wieloznacznej nieraz dygresji, która faktów pozbawia konkretności i tworzy całość obiektywnie niesprawdzalną. Ten wymyślny, przejawiający się w doborze materiału poetyckiego subiektywizm był rezultatem całkowitego zagubienia ideowego poety, tak wyraźnie uwidoczniającego się chociażby w cytowanej wyżej „Grecji zwycięzców”. Analogiczne objawy odkrywamy w „Muzyce”, „Erotykach”, „Deformacjach” i innych wierszach zbioru.

Pisarz znalazł się więc w ślepych zaułku. Wyjście zeń było tylko jedno i uświadomienie sobie tego przez autora, miało stać się początkiem przełomu.

Następny z kolejnych etapów — to poemat „Stocznia”. Wszedł już w ten poeta — jak widać po końcowych utworach „Sonaty” — z pewnymi określonymi zamiarami, a zarazem z dużą częścią dotychczasowego bagażu swych obciążeń. Zamiary i tendencje są zupełnie wyraźne, w zakresie tematycznym dostaje się przecież konkretny zespół zjawisk związanych z pracą produkcyjną — a zatem będzie to na pewno do rzeczywistości, jej kluczowych spraw i problemów. Oczywiście, na tym etapie zamierzenie przetrasta siły autora. Przy dokładnym i sumiennym opisie całego zewnętrznego, przez wzrokową obserwację uchwyconego, obrazu zjawisk, przy uścisłej dążności do ich wyselekcjonowania i opracowania, do ujęcia w ramy jakichś szerszej pojętych prawidłowości — całość chybła celu. Zachodzi bowiem rzecz niedopuszczalna. W obrazie stoczni dźwigniętej z gruzów przez ludzi, kierowanej ludzkimi rękami, gdzie człowiek podporządkowuje sobie materiał i narzędzia — zabrakło człowieka. Zamiast ludzi — twórców i budowniczych występują tam ludzie — migawki w postaci marginesowych dodatków do szeroko rozbudowanych procesów produkcji. Jedynie, co udaje się pocie czytelnikowi o ludziach tych powiedzieć, to stwierdzenie, że niektórzy z nich piją wódkę, inni rozwijają butle z acetylenem a większość mruży oczy.

W ten sposób obraz stoczni nabrał typowych cech obrazu odbitego w świadomości inteligenta — mieszczańskiego, zruconego w niezrozumiały dłań, pozorny chaos dźwięków, krawów i młotów pneumatycznych, który go oszalał i którego przy najlepszych chę-

ciach nie potrafi sobie prawidłowo wytłumaczyć. Stąd słowa: „Pozostaje człowiek pozostaje człowiek

— mają charakter raczej oderwanego spostrzeżenia, niż ogólnego wniosku, wysnułego z materiału rzeczywistości przetwarzanej w utworze.

Z tym wszystkim zasługa „Stoczni” — mieści się głównie w granicach jej ujęcia tematycznego, wyznaczającego zarazem dalszy kierunek rozwoju autora. Przyjmujemy więc „Polemiki i pieśni”, jako nowy, mniej lub więcej konsekwentnie zarysowany etap tego rozwoju. Charakterystyczne go przede wszystkim świadomy nawet do rzeczywistości, już w szerokim pojęciu tego słowa. Mimo bowiem niewielkich rozmiarów tomiku, utwory w nim zawarte chwytają, lub starają się uchwycić nurt życia — stanowią poetycką replikę na jego wypadki i zdarzenia. W zestawieniu z dawnymi skłonnościami do ucieczki od konkretnych faktów — otrzymujemy zasadnicze wytyczne drogi twórczej autora — drogi, która jest i musi być jedynie słuszną. Poeta wydaje się to rozumieć — w przeciwnieństwie do „polany naiwności” otrzymujemy taki obraz świata:

„Ten świat jest okrągły, jak orzech możesz go zmieścić w swojej dłoni i żywy, jak serce możesz je włożyć w przestrzeń między prawym a lewym płucom Czujesz, jak wleciała krew w najdalsze tkanki?”

A solą ziemi jest człowiek walczący o siebie i o swoich braci” („Traktat polemiczny”)

Utwór, z którego został zaczerpnięty cytat stanowi zarazem miarę dojrzałości świadomości ideowej poety. Stanowi zaś dlatego, że polemika z poglądami Miłosza, ukazany w „Traktacie moralnym” i innych utworach tego okresu, a tak charakterystycznymi dla postawy późniejszego renegata i zdradcy — stwarza zarazem konieczność uświadomienia sobie w pełni postawy własnej. Wypadało powinnosć pocie ostrości widzenia tam zwłaszcza, gdzie demaskuje z pa-

...świat gołębi, ...łagodnych krolepek rosy, liści, wiatru ...które dzwonią od przypadku bo po malarsku zestawione...”

— ukazując przy tym światopoglądową, tkwiącą w „mieszczańskich psychologii strachu” korzenie takiego stanowiska:

„Cheesz znać diagnozę? Oto ona: w jądrze ciemności mieszczech kona Lecz, by do światła przebić drzwi potrzebna często kropka krwi. Potem już trumna może zbawić Napis na trumnie: kapitalizm!”

Ukazanie beznadziejności i bezwzględności postawy mieszczaństwa i jego ostatniej deski ratunku w postaci ucieczki w otchłań gniącego ustroju — oto diagnoza, którą jak wiemy rzeczywistość potwierdziła w całej pełni.

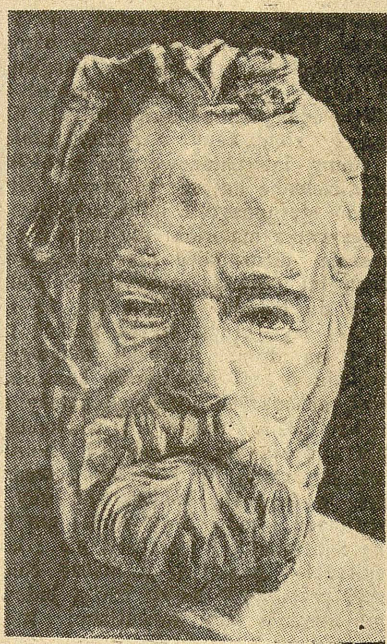
Własny stosunek do zjawisk życia dyktuje z kolei Wirszy zwrót długo oczekiwany, którego konieczność warunkuje sens odbywanej ewolucji — zwrót do człowieka. W „Polemikach i pieśniach”, a ściślej w „Portretach” starał się poeta wyraźnie przełamać impas początkowych etapów swej twórczości i pokusił o pełniejszą charakterystykę postaci ludzkich. Te „wprawki” poetyckie przyniosły jednak wynik negatywny — uwaga autora rozprasza się i wyodrębnia cechy zewnętrzne, nieraz drugorzędne — nie będąc w stanie zdobyć się na ich syntezę. Aby się o tym przekonać wystarczy wyobrazić sobie te wiersze bez tytułu — czy zorientowalibyśmy się wówczas, że chodzi w nich o wynalazcę, starego robotnika i chłopca uczącego się pisać wiersze? Postęp osiągnięty na tej linii jest w stosunku do dawnych utworów wciąż jeszcze niewielki.

Także tam, gdzie chodzi już nie o samego człowieka, ale o pewne fragmenty, lub zjawiska rzeczywistości — nie unika poeta pewnej zewnętrzności, pograżającej się w rejestrowaniu przede wszystkim najbardziej jaskrawych, najożywiejszych objawów danego wypadku („Na spadek funta”). Pozostaje to naturalnie w związku z niecałkowicie jeszcze opanowaniem umiejętności realistycznego obrazowania zjawisk. Od użycia faktu jedynie, jako pretekstu dla ucieczki odep — do sformułowania pełnego uzasadnienia i naświetlenia tego faktu — droga jest nielata i niemała.

Ze przebiegiem jej leży w granicach możliwości poety, świadczy choćby „Koszy łodzi podwodnej”. Zagłada robotników na ratunek których w warunkach kapitalistycznych „nie warto”

ZOFIA SIKORSKA

PISARZ WALCZĄCEJ FRANCJI

Wiktor Hugo
rzeźbił Rodin

TWOI syn Hugo — pisał Maksym Gorki adresując swoje słowa do ojczyzny znakomitego poety — to jeden z większych diamentów w koronie twojej chwały. Trybun i poeta, huczał nad światem, jak huragan, rozbijając do życia wszystko, co najpiękniejsze w duszy człowieka. Wszędzie tworzył bohaterów i tworzył ich wielkich książkami nie mniej, niż ty sama w tych wielkich czasach, kiedyś krociła, Francjo, na czele narodów ze sztandarem wolności w rękach, z wesolym uśmiechem na pięknym obliczu, z nadzieją na zwycięstwo prawdy i dobra w uciszających oczach. Hugo uczył wszystkich ludzi, jak kochać życie, piękno, prawdę i Francję. W tych słowach wielki pisarz proletariatu zwięźle i prosto wyraził źródła wielkości Wiktora Hugo: jego związek z nieśmiertelną tradycją rewolucyjnego narodu francuskiego; wyjaśnił przyczyny niegasyjącego sukcesu twórcy „Nędzników” w sercach niezliczonych rzesz czytelników: jego umiłowanie życia i piękna, jego niewzruszoną wiarę, wiarę milionowych mas ucimionych, w zwycięstwo prawdy i dobra. Hugo był zawsze pisarzem walczącym, demokratycznym Francji; dzisiaj dziedzictwo jego przejmujemy i realizujemy chłuba narodu francuskiego: Komunistyczna Partia Francji i cała postępową ludność. Słowa wzywające do walki i namietanie protestu przeciwko przemocy, wielkie obrazy bohaterów i bohaterów o szczęście świata były pomocą i natchnieniem w życiu niejednego rewolucjonisty. „Syn ludu”, Maurice Thorez, wspomina, jak zachwycała go i porwała do walki postać urwisa Gavroche, ucz-

stnika powstania czerwcowego proletariatu 1832 r. z powieści „Nędznicy”. Wezwania Hugo do nieprzejednanej walki o niepodległość Francji towarzyszyły uczestnikom francuskiego Ruchu Oporu w zmaganiach z faszystowskim najeźdźcą. Dzisiaj Hugo obecny jest wśród Francuzów walczących o wolność i niezależność swojej ojczyzny. Jak pisał Romain Rolland — „Imię i duch tego starca pojawiają się wśród sztandarów kroczącej naprzód armii”. Uroczyste obchody 150-lecia urodzin Wiktora Hugo, jakie proklamowała we wszystkich krajach Świata Rada Pokoju, przyczynią się niewątpliwie do zacieśnienia więzów przyjaźni między narodami, upowszechniając jeszcze szerzej imię człowieka, który stał się symbolem Francji sprawiedliwej, demokratycznej, niezależnej.

Droga pisarska Hugo była złożona i trudna, obfitowała w klęski i zalamania działacza i twórcy, ale cechowała ją wielką żarliwością i pasją poszukiwań bojownika o szczęście ludzkości. Dziś dostrzegamy wyrażenie wszystkich słabości ideologii wyrażenie i idealistycznego rozumienia historii; ale tym jaśniej widzimy siłę antykapitalistycznych oskarżeń pisarza, który zawsze najgoręcej współczuł cierpieniom ludu, a w chwili rewolucyjnej walki opowiadał się tak, że po jego stronie. Bohaterowie barykad z ulicy Saint - Denis pozostają na zawsze w sercach czytelników Wiktora Hugo. Przemawiają dziś do nas z niezwykłą potęgą jego namietanie oskarżenia wojen zaborczych, przyczyniając się do umocnienia dzieła pokoju na całym świecie. Ołbrzymi i wszechstronny jest wkład autora „Hernaniego” w rozwój literatury francuskiej, w rozkwit języka narodowego; w historii literatury światowej pozostanie Hugo, jako jeden z twórców wielkiej, przepojonej elementami realizmu „powieści społecznej”, jako burzyciel starych kanonów klasycyzmu i znakomity przedstawiciel nowatorskiej, w swoim czasie, sztuki romantycznej.

Zycie i twórczość Hugo przypadają na okres bujnego rozwoju życia politycznego Francji, okres narodzin i wystąpienia do walki rewolucyjnego proletariatu. Od rewolucji 1830 roku poprzez wydarzenia Wiosny Ludów 1848 r. i dyktatorski zamach stanu Ludwika Bonaparte w 1851 r. aż do Komuny Paryskiej 1871 r. — wszędzie spotykamy wiersze, pamflety, powieści, dramaty, przemówienia i artykuły Wiktora Hugo, który swoim wielkim piarstwem towarzyszył wszystkim wydarzeniom życia kraju i narodu, miał ambicję aktualnie reagować na każdą podłość i przemoc starego ustroju, na każdy przejaw triumfu zaradków nowego, które zwiastowały szczęśliwą przyszłość. Hugo nie urodził się od razu pisarzem, tak bezkompromisowym i rewolucyjnym, jakiego znamy ze znakomitego tomu poezji, wydanego w roku 1853 pt. „Châtiments” („Odwet”). Działalność jego, to żmudne docieranie do pozycji twórcy, który pragnie wyrazić najżywniejsze interesy narodu. Hugo debiutował jeszcze za Restauracji pod patronatem rojalistycznym - katolickim. Pierwsze tomy jego utworów cechuje duch monarchizmu, uwielbienie dla „prawowiernej” religii. W dziedzinie programu literackiego Hugo głosił wtedy pochwałę klasycyzmu; Corneille’a i Racine’a wynosił nad Szekspira i Schillera. Ale rychło rojalści i klasycy utracili tak znakomitego przedstawiciela swych tendencji. Hugo zerwał z nie-realistyczną sztuką klasycyzmu i — w miarę zbliżania się rewolucji 1830 r. — coraz wyraźniej przechodził do obozu romantyków. Teoretyczną przedmowa do dramatu „Cromwell” (1827) jednoznacznie została uznana przez współczesnych i potomnych za manifest postępowego romantyzmu, obok dramatu „Hernani” (1830), który stał się początkiem nowej ery w dziejach teatru francuskiego, rozstrzygnęła ona imię Hugo, jako przywódcy postępowego skrzydła romantyzmu europejskiego. Hugo, w swoich sformułowanych teoretycznych i praktycznych dramatopiskarskich, wypowiedział nieubłaganą walkę skostniałym rygorom klasycyzmu, odrzucił kanony, które zobowiązywały do przedstawiania w tragediach tylko ludzi „szlachetnie urodzonych”. Żądał, aby pisarze kierowali się w swej twórczości „nie przepisami Arystotelesa, ale przepisami historii”, aby przedstawiali bogactwo wszystkich złożonych elementów życia. Zasada Hugo: „to, co jest w naturze — jest w sztuce” umożliwiała wprowadzenie elementów realizmu do ówczesnej literatury. Były one oczywiście jeszcze w tym czasie w twórczości Hugo zagłuszone przez fantastykę i subiektywizm sztuki romantycznej, ale stanowiły rzeczywisty przełom w stosunku do zastępczej konwencji klasycyzmu. Hugo miał wyraźną świadomość związku nowego kierunku literackiego — romantyzmu z określonym, postępowym obozem politycznym. W przedmowie do dramatu „Hernani” Hugo nazwał romantyzm „liberalizmem w literaturze” i związał go z walką o ideę demokratyczną. W wydanym w r. 1828 tomie „Les Orientales” („Motywy wschodnie”) z sympatią i uznaniem pisał o walce narodowo-wyzwoleńczej Greków, ku którym w tym czasie zwracały się serca całej postępowej Europy. Rewolucja 1830 r. wita Hugo od „Do Młodej Francji” i „Hymnem na cześć poległych w lipcowe dni”. W roku 1831 opublikował Hugo powieść historyczną „Notre Dame de Paris”, w której z romantycznym rozmachem i bogactwem wyobraźni przedstawił życie ludu w średniowiecznym Paryżu. W ten sposób pisarz zadokumentował swój wszech-

stronny udział w walce o nową sztukę i demokratyczną Europę. W latach 30 tych Hugo wystawił szereg dramatów („Król się bawi”, 1832; „Maria Tudor”, 1833; „Ruy Blas”, 1838), opublikował kilka zbiorów utworów lirycznych („Liście jesienne”, 1831; „Pieśni zmroku”, 1835; „Głosy wewnętrzne”, 1837). Hugo prezentuje się w nich jako mistrz refleksyjnej liryki romantycznej; niekiedy zaskakują tu czytelnika drobne realistyczne obrazy z życia paryskiego. W dramatach ówczesnych porbrzmiewają groźby skierowane przeciwko despotyzmowi. Ale trzeba zaznaczyć, że Hugo, znajdujący się pod silnymi wpływami utopijnego socjalizmu, jego złudzeń na temat naprawy ustroju przez apele do miłosierdzia i dobroci panujących i bogaczy, nie umiał przezwyciężyć do końca iluzji na temat monarchii konstytucyjnej. Znalazło to odbicie w takich faktach, jak przemówienie na cześć monarchii przy wstępowaniu do Akademii Francuskiej i przyjęcie przez Hugo tytułu para Francji; odzwierciedliło się także w jego nieudanym utworze „Les Burgraves” (1843), przedpojonym mistyczną pochwałą średniowiecza, który wywołał słowa nagany także ze strony naszego rewolucyjnego demokracji, Edwarda Dembowskiego, za brak „społecznej myśli”.

Przewrót grudniowy 1851 r., kiedy Ludwik Bonaparte mianował się cesarzem, stał się nowym przełomem w twórczości i życiu Hugo. Obecnie goręcej tręcią jego działalności staje się walka z przemocą dyktatora i uzurpatora, z politycznym panowaniem reakcji. Podczas dziesięciu lat nastoletniego wygnania (1852—1871) Hugo nieprzerwanie walczył z podłością drugiego cesarstwa, zrywał maski „imperatorskiej godności” z twarzy awanturnika, będącego narzędziem w rękach klas panujących, którego tak przenikliwie zdemaskował Marks w „18 Brumaire’a Ludwika Bonaparte”. W r. 1852 Hugo publikuje znakomity pamflet „Napoleon Mały”, na którym odbiło się jednak cichutkie jego światopogląd idealistyczne rozumienie procesu historycznego; w r. 1853 wychodzi zbiór świętych wierszy politycznych „Châtiments” („Odwet”), który wysoko cenili Lenin za „powiew rewolucji”, jaki od nich ciągnął.

W tym okresie Hugo, pełen wygnania, staje się symbolem zmagania narodów Europy z reakcyjnymi rządami. Hugo nie pomija żadnej okazji w walce z przemocą despotów — występuje w obronie skazanego na śmierć przywódcy powstania wywoleńczego Murzyna Johna Brown, potępia zabory kolonialne państw imperialistycznych, popiera walkę o wyzwolenie spod ucisku narodów Europy z reakcyjnymi rządami. Wśród tego bogactwa doświadczeń politycznych, w ścisłej zależności od nich, powstają słynne „powieści społeczne” Hugo, pełne realistycznych obrazów życia mas ludowych: „Nędznicy” (1862), „Pracownicy morza” (1886), „Człowiek śmiechu” (1869). Funkcję „Nędzników” określił sam Hugo: „Dopóki nie zostaną rozstrzygnięte trzy podstawowe zadania obecnego wieku: ucisk ludzi, będących proletariatem, sprzedawanie się kobiet z głodu, pochłanianie dzieci przez mroki nocy; dopóki na ziemi panuje nędza i ciemność, dopóki książki, do tej podobne, nie mogą być bezpożyteczne”.

Powieści Hugo ukazywały potworną nędzę i ucisk ludu, wielbiły jego mądrość, wrodzone zdolności i nieugiętość w walce. W utworach tych odbiły się także słabe strony ideologii Hugo: ogólnikowa wiara w miłosierdzie, w zwycięstwo dobra nad złem, utopijne przekonanie o mającym nastąpić „pogodzeniu się” wszystkich klas. Ale realistyczne obrazy walki ludu, siła gniewnego protestu przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu przeważają nad tymi słabymi, słoniastymi utworami Hugo.

Natychmiast po upadku Drugiego Cesarstwa, Hugo wraca do Francji. Wielki patriotą wzywa do nieprzejednanej walki z najeźdźcą pruskim, wstępuje do Gwardii Narodowej. Komuna Paryska wita z uznaniem, pi-



Nowa równowaga

Honore Daumier

W tym okresie Hugo, pełen wygnania, staje się symbolem zmagania narodów Europy z reakcyjnymi rządami. Hugo nie pomija żadnej okazji w walce z przemocą despotów — występuje w obronie skazanego na śmierć przywódcy powstania wywoleńczego Murzyna Johna Brown, potępia zabory kolonialne państw imperialistycznych, popiera walkę o wyzwolenie spod ucisku narodów Europy z reakcyjnymi rządami. Wśród tego bogactwa doświadczeń politycznych, w ścisłej zależności od nich, powstają słynne „powieści społeczne” Hugo, pełne realistycznych obrazów życia mas ludowych: „Nędznicy” (1862), „Pracownicy morza” (1886), „Człowiek śmiechu” (1869). Funkcję „Nędzników” określił sam Hugo: „Dopóki nie zostaną rozstrzygnięte trzy podstawowe zadania obecnego wieku: ucisk ludzi, będących proletariatem, sprzedawanie się kobiet z głodu, pochłanianie dzieci przez mroki nocy; dopóki na ziemi panuje nędza i ciemność, dopóki książki, do tej podobne, nie mogą być bezpożyteczne”.

Powieści Hugo ukazywały potworną nędzę i ucisk ludu, wielbiły jego mądrość, wrodzone zdolności i nieugiętość w walce. W utworach tych odbiły się także słabe strony ideologii Hugo: ogólnikowa wiara w miłosierdzie, w zwycięstwo dobra nad złem, utopijne przekonanie o mającym nastąpić „pogodzeniu się” wszystkich klas. Ale realistyczne obrazy walki ludu, siła gniewnego protestu przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu przeważają nad tymi słabymi, słoniastymi utworami Hugo.

Natychmiast po upadku Drugiego Cesarstwa, Hugo wraca do Francji. Wielki patriotą wzywa do nieprzejednanej walki z najeźdźcą pruskim, wstępuje do Gwardii Narodowej. Komuna Paryska wita z uznaniem, pi-

Zofia Sikorska

JAN MARIA GISGES

„ZIELONE GAŁĘZIE”

(Fragment z I aktu dramatu o Łętowskim)

Szataniak — Ze na Komorowskiego pomstujesz — masz prawo. Ale na nas? O co?

Rusnak — Bo śpieć! Narzekacie, gadacie i gadacie, a jak co do czego, kładziecie uszy po sobie i własnych kamratów się zapieracie! Jadasz!

Szataniak — Nie gadaj, bo się zgniem. Nie wiesz co się dzieje.

Rusnak — Cóż się takiego dzieje?

Szataniak — Zbrojnie ruszyć zamysłamy na starostę Komorowskiego i zbrojnie swego dochodzić.

Rusnak — Zamyślenie dopiero.

Szataniak — Ty chciałbyś już?

Jadwiga — Trza ostrożnie sobie poczynać. Mnie się wydaje, że to wszystko jest o wiele za wcześnie.

Rusnak — Na co czekać? Na co? Aż nas wszystkich w jarmzo zaprzęganie jak woły? Na odrodek trza chodzić trzy razy w tygodniu, a nalezy się dwanaście dni w roku. Na przednówek głód — ludzie jemiole jedzą. Czekać nie ma na co.

Szataniak — (nalewa sobie piwa) Wóz, jak go nie nasmarujesz, skrzy-pi. Gębę trza przeplakać (pije). Owoc dojrzewa na jeściem. Tak mi się wydaje, owoc już jest dojrzawy. Pora go rwać. Ziy to gospodarz, co pozwala, żeby owoce gnily.

Rusnak — Teraz prawdę mówisz.

Szataniak — (szepem) Zbójnicy są u nas.

Rusnak — Przystanę do nich. Tylko o tym ani pary z gęby.

Szataniak — Nie przystawaj do nich. Z nami pójdiesz.

Rusnak — Kiedy?

Szataniak — Niedługo.

Rusnak — Czekać nie mam czasu. Zemsta mnie zeżre. Zycie twarde jak ta ziemia, którą uprawiasz i oporne jak pniaki, które musisz wycinać. Zycie pomsty się domaga. Czas ją może przystępić. Na to nie mogę zezwolić.

Szataniak — W gorącej wodzie cie kąnał.

Rusnak — Szataniak! Mnie się ręce palą od żaru i w duszy spokoju ni-jakiego nie mam i mieć nie będę, póki pomsty krwawej nie wezmę.

Jadwiga — Zle zrobicie. Rusnak. Za wcześniej, widzi mi się, pożar chcecie niecić. Strach pomyśleć. Przegrzać można. Tamci mają wojska, mają pieniądze, mają siłę. A wy?

Rusnak — Na Boga! Łętowska! Przecież panowie szlachta w dyby nas chcą zakuć!

Jadwiga — Mnie to mówicie? Wiem, wiem...

Hanka — (wnosi kubki i nalewa do nich piwa).

Jadwiga — Kto strzelał?

Łętowski — Harnicy. Hulają po wsi. Popili i strzelają. Psy! Przekle-tę pańskie psy!

(Wszyscy nadsłuchują. Słychać wzburzone głosy)

(Wchodzą harnicy, prowadzą skutego Walkosa)

Harnik I — Sołtys tu jest? (wchodzi).

Mientus — Jestem.

Harnik I — Ol! gospodarz w domu.

Harnik II (wchodzi) Gospodarz gościem teraz w domu.

Harnik I — Dość słów! Sołtysie! My do was. Powiedziano nam, że z Łętowskim was widziano. Prawdę mówiono.

Mientus — Do czego wam sołtys potrzebny?

Harnik I — Przyjrzyjcie się. Znacicie go? W waszej wsi ujęły.

Mientus — Nie! Nie znamy się. Nie ma co wstawiać...

Harnik I — To się jeszcze zobaczy, jak was rozciągną. Inaczej będziecie mówić. Kat z wami pogada po swojemu.

Mientus — Grozicie?

Harnik I — Ostrzeżenie daję.

Łętowski — Ostrzeżenie, które brzmi jak groźba. My nie z takich, co się groźby zleką.

Harnik II — Ej! Mości Łętowski! Gniew pański na swoją głowę ściągacie!

Łętowski — Gniew pański na moją głowę... Tak. Nie jedno ta głowa wytrzymała. Może i ten gniew przetrzyma.

Harnik I — Powinności swoich nie spełniasz.

Łętowski — Jakich?

Harnik I (do Mientusa) Jego mość pan starosta już dawno sołtysom i gromadom nakazał straż we wsiach ustanowić, łapać takich jak ten i dostawiać na zamek. A wy — co?

Łętowski — Wyl! Wy mówicie o sprawiedliwości? Kiedy sami prawa gwałcicie i gwałciciełowi słuzycie?

Mientus — (do Walkosa) Spokojnie, spokojnie. Szkoda waszego jadu na nich.

Walkos — Tym piparkom oleju naleć do głowy trza.

Mientus — Szkoda czasu. (do Harników) Jeżeli wolno mi rzec, to powiem, że Rzeczpospolita to nie tylko starostowie, szlachta, to także i lud mnogi, który ma swoje prawa i przywileje. I tych też trzeba bronić. A jeżeli nikt, nawet sądy nie chcą ich bronić, nam samym trza się o nie upomnieć.

Harnik II — Myszy wasze przywileje jedzą.

Łętowski — Ale ich nie zjedzą.

Harnik I — Śmiać się z tego. Was prędzej nie stanie, niżby jego mość pan starosta miał zaniechać tego, co czyni.

Łętowski — Znajdzie się i na niego rada.

Harnik II — Może do króla jego mości znowu pojedziecie...

Łętowski — Może...

Harnik II — Może przed sąd referendarski sprawę przeciw panu wniesiecie...

Łętowski — Może...

Harnik II — Może... (wskazuje na Walkosa) z takimi pojedziecie — na zbieg?

Łętowski — Może...

Harnik I — Dość! To nam wystarczy! Pojaliśmy w waszej wsi zbrojnika. Jedyną jedyną gada, nam pomógł — ten co naprzeciw ślizów ma swoją chalupę.

Mientus — Furej im pomógł.

Walkos — Pies! Doczeka się za swoje.

Harnik II — Grozisz?

Walkos — To nie groźba. I tak o-trzyma zapłatę.

Harnik II — Kto mu zapłaci? Ty?

Walkos — Znajdzie się taki.

Harnik II — Bezcelny zbieg! Stryczek ma już na szyi, a jeszcze chce gryźć.

Walkos — Pamiętajcie, że zbrojnik nawet po śmierci potrafi ugryźć. Jak diabeł, co ślad zostawi, który nie zginie.

Harnik I — Jak was wszystkich wyłowimy, nie będzie miał kto po śmierci gryźć.

Walkos — Wszystkich nie wyłowicie. Bo jak długo gnębić będą panowie chłopów, jak długo szlachta rządzą nami będzie, tak długo chłopcy chodząć będą na zbieg. Jedni zginą, przyjdą inni.

Harnik I — Dość gadania! (do Harnika II) Idziemy! Trzeba tego

odstawić do dworu starościńskiego, Sołtysie! Wyznaczcie podwoź!

Mientus — (do Łętowskiego) Kto by mógł jechać? Może Kucytajka?

Łętowski — Jakże? Białka mu o-negdaj zległa. Córka ma. A po wtóre wolami jego dugo trza byjechać, bo już bardzo stare.

Mientus — Może Stach Bylica?

Łętowski — Panie sołtysie! Nie wysyłajcie go! Robotę jeszcze w polu ma, żyto nie wymłócone, a cały dzień jutrzejszy trza by zmłóżyć, jakby miał jechać.

Mientus — Który ma dobrego konia? Chyba Odrowąski.

Harnik I — Cóż to za nowe zwyczaje wprowadzacie, sołtysie? Kto to widział pytać, który ma jechać. Rozkazać i pojedzie pierwszy z brzęgu. Nie będzie chciał — w gębę.

Łętowski — Tak nie można! Przecież to ludzie!

Harnik I — Sołtysie! Wy z nami pojedziecie!

Mientus — Czasu nie mam. Wsi muszę pilnować.

Harnik I — Nie chcecie jechać. Ze zbrojnikiem. To znaczy, że z nim trzymacie. (podnosi rusznicę na Mientusa).

Łętowski — Szukacie zwady? Przy-musem chcecie działać? Powiem wam panowie harnicy, że siłą teraz nie wiele zrobicie. Po dobroci trza z ludźmi.

Harnik II — Po dobroci można z wami o babach gadać. Kiedy przyjdzie coś brać — tylko siłą. I bić!

Mientus — Skończyć się muszę wasze bicia i wasze branie.

Łętowski — (zapalczywie) Uwaga! Biliście was, mogą was zacząć bić. Każdy kij ma dwa końce.

(Harnicy cofają się do drzwi, mając między sobą Walkosa)

Harnik I — Panie sołtysie! Teraz wiem, że z buntownikami trzymacie. Cała wasza wieś tym śmiesz. Burza się zbiera na waszą głowę.

Mientus — Macie słuszność. Burza się zbiera, choć to już jesień.

Harnik I — Komu grozicie? Nam?

Łętowski — Wam i nie wam. Tym wszystkim, którzy w nędzy i upodleniu żyć nam każą.

Mientus — I tym, co biją...

Łętowski — I tym, co niesprawiedliwie chcą nas zakuć w dyby...

Harnik I — Bunt!

Łętowski — Tak! Bunt!

Jan Maria Gisges



W. Skoczylas

(W chalupie Stanisława Łętowskiego)

Walkos — (gniewnie). Ja tu wrócić jeszcze, wtedy inaczej pogadamy. O czym innym, matko, muszę zastać. Łętowskiego wtedy muszę zastać. Z towarzyszami przyjdę. Uroczyste. No! Bywajcie! (wzdiera kolkap i wychodzi).

Jadwiga — (do Hanka). Znowu do ciebie przyszedł. Utrapienie. Nie jest to chłop dla ciebie.

Hanka — (po chwili). Taka jestem niespokojna. Walkos mówił, że wie się buntują. Ciągłe się chłopci zbierają, gadają, gadają. „Komornicy jeno i nowaki, niedzota co najfichsza, w dzień jak się spotkają, szepczą coś do siebie, a jak podejdę — milkną. Harników, pacholców i urzędników starościńskich pełno, jak nigdy. Niepokój na wsi, niepokój w powietrzu. Jeśli wslucham się w szczerkanie psów wieczorami, czy nocą, to i w tym jargocie jakiś dzwonek niepokój. I kury pieją w dzień, jak na burzę.

Jadwiga — Na burzę, dziecko, na burzę. Cicho! (nadsłuchuje). Ktoś idzie.

Rusnak — (nędznie odziany — rozglądając się). Stanisława nie ma?

Jadwiga — Rusnak!

Rusnak — Jak widzicie.

Jadwiga — Z wzięcia?

Rusnak — Wypuścił mnie starosta. Ledwo stoję.

Jadwiga — (do Hanka). Skocz no, przynieść co gorącego. I piwa,

Rusnak — (podchodzi do okna). Pole moje już nie moje. Obsiane je-go ziarnem. Starościńskim. Oh! „Z chalupy ani śladu. Spalił ją!”

Jadwiga — I miejsce po niej zao-rał.

Rusnak — Gdzie moja?

Jadwiga — U Stacha Bylicy.

Rusnak — U tego nędzarza?

Jadwiga — Inni bali się wziąć ją siebie, a żeby jego gniewu na siebie nieściągnąć.

Rusnak — A wy?

Jadwiga — (młczy).

Rusnak — Wy też baliście się starosty?

Jadwiga — Wiedzie, że Stanisław musiał do lasu uchodzić, bo mu pacholki po piętach deptali.

Hanka — (wchodzi, niosąc dzban piwa, chleb i ser. Stawia wszystko na stole). Siadajcie (do Jadwigi). Gorącego już nic nie ma. Piec wystygł.

(Pukanie. Rusnak zrywa się).

Szataniak — Stanisław jest?

Jadwiga — Wyszedł.

Szataniak — Rusnak! Puścili cię? A myśmymy myśleli...

Rusnak — Głupstwaście myśleli. Jak ino człeka wezmą, to na nim krzyż stawicie. Znam was.

Szataniak — Co cię ugryzło?

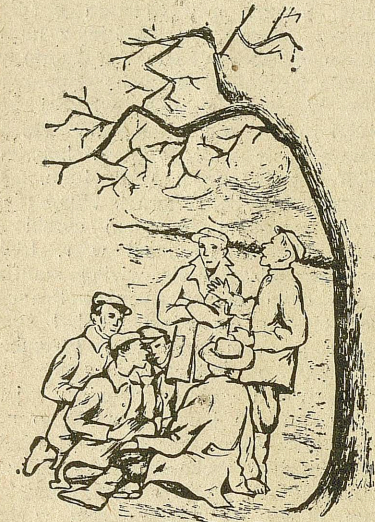
SEWERYN SKULSKI

NAPRZÓD!

BYŁO to w Zajeźdźcu gminie Kikół powiatu lipnowskiego, gdzie po wygnaniu mnie przez hitlerowców z mojej gospodarki w Karnikowie, wzięto mnie do pracy na folwarku Zajeźdźcu. Pracownikami byli sami Polacy i Polki, odnoszący się wrogo do hitlerizmu, jak zwykłe naród pracujący. Zarządca Niemiec, w stosunku do nas trzymał się ściśle programu hitlerowskiego.

Ale nie plugawie wyrażenia szwaba nas gnębiły. Był to początek roku 1942, w którym hitlerizm stał się już w naszym kraju, wzięto mnie do pracy na folwarku Zajeźdźcu. Pracownikami byli sami Polacy i Polki, odnoszący się wrogo do hitlerizmu, jak zwykłe naród pracujący. Zarządca Niemiec, w stosunku do nas trzymał się ściśle programu hitlerowskiego.

Gdy szwab nad nami nie stał z laską, siadaliśmy na polu i omawialiśmy naszą przyszłość w razie przegranej hitlerizmu. Pomiędzy nami byli daw-



Rys. H. Jarosz

ni formale i pracownicy folwarczni oraz wydziedziczeni gospodarze. Nikt nie tęsknił do takiej Polski, jaka była przed wojną. Z drugiej strony nie wierzyliśmy, by anglosasi mogli i chcieli nam pomóc w zbudowaniu lepszej Polski. Każdy z formali i byłych robotników folwarcznych marzył o kawałku własnej ziemi w tej przyszłej Polsce. Snuło nawet projekty, jak działki będą dzielone, co komu i przydać, czy będzie szło po alfabetcie, czy przez losowanie. Nie wiedzieliśmy tylko kiedy to będzie i jakie siły społeczne to zrealizują, choć sami tą siłą byli. Nie widzieliśmy jeszcze o powstaniu Polskiej Partii Robotniczej i o organizującym się pierwszym oddziale partyzanckim, który z murów Warszawy jako oddział peeperowski wyruszył w lasy do walki z okupantem, o taką Polskę, o jakiej marzyliśmy na polach Zajeźdźcu.

Gdyśmy się przypadkowo dowiedzieli o powstaniu PPR od pewnej kobiety, której udało się dostać z Warszawy na nasze tereny, już nie czuliśmy się osamotnieni. Jakaś pewność jutra i pokrzepienie w nas rosło, a w opasym „szwabie i jego plugawym wyzywaniu nas”, czuliśmy już tylko niemoc i głupotę. Nieugięta wola Leninię, zawiązane nadzieje miejscowych Niemców na upadek Moskwy, która nie padła — wszystko mówiło nam o sile, której hitlerizm rady dać nie może. Wreszcie klasa stalingradzka obwieściła nam załamanie się potęgi hitlerowskiej. Pierwsza mała bomba z aeroplanu lotnika radzieckiego, zrzucona koło Lipna, wywołała w nas entuzjazm, z którym już nie kryliśmy się przed Niemcami, bo ratowaniem własnych skór byli zajęci.

Skoro szwabstwo wybiło, ktoś nam doniósł, że widział czerwony sztandar na jednym z domów przy ulicy Kościuszki w Lipnie. Pokazało się, że ten sztandar obok narodowego sztandaru został wywieszony reklamą peeperowców. Otworzył kwatery organizacyjną. Gdyśmy tam przyszli, zastaliśmy już pełno robotników i chłopów z różnych miejscowości powiatu. Wszystko szło do Partii a linia zapisujących się wyluzowała się. Po długich dniach niewoli, był to dzień uniesień i radości, że oto przyszedł czas wyzwolenia i nie pańska, nie burżuazyjna, ale nasza robotnicza i chłopska Polska Partia Robotnicza, ta która pierwsza rzuciła hasło bezwzględnej walki z okupantem, jest na naszym terenie, organizuje i bierze dla nas nasz powiat i władzę w nim dla nas.

Tęsknota do własnej ziemi byłych formali i pracowników w Zajeźdźcu została zaspokojona. Do Zajeźdźcu przyjechali ludzie z Komitetu Powiatowego PPR z mierniczą taśmą, paliki już się na miejscu znalazły. Wszyscy, nawet starcy i dzieci wyszli z mieszkani patrzeć jak się działki mierzy. Bo czyż nie była to przełomowa chwila w ich życiu. Czyż nie kończyli niewolniczego życia i zaczęli nowego? Uswiadamiali sobie przecież, że raz na zawsze kończy się ich tulaćka od folwarku do folwarku.

Wszystko to nie przyszło samo. Wywalczyła to Polska Partia Robotnicza, za którą poszły najzuchotniejsze siły narodu. Wywalczyli to ofiarzy żołnierzy Armii Czerwonej.

Dziś w Zajeźdźcu jest żywa organizacja PZPR, której sekretarzem Jan Przywitoski, ten sam był robotnik folwarczy, który nieraz na dyskusyjnym kółku na polu, za okupacji, zaklinał się i walił pięściami w ziemię, że taka Polska jaka była przed wojną, Polska sanacyjna i Polska dziedziców,

już więcej nie powstanie. Przecucie mówiło mu, że zdecydowanie nowa siła, która zbuduje Polskę sprawiedliwą. Ta siła była Polska Partia Robotnicza, powstała przed dziesięcioma laty.

*

— Jak to czas leci, jak to czas leci — odzywa się do mnie spotkany przy dniu targowym w Lipnie tow. Przywitoski. — Wierzę mi, towarzysze, że te 7 lat na własnym kawałku ziemi przedzieliło, niż jeden rok. Prawda, że teraz czas leci, ale nie leci bezpłodnie. Każdy nowy rok nieśie nam wielkie zwycięstwa, o których nie tylko trzeba wiedzieć, ale codziennie mówić. Trzeba też mówić o tym, co kiedyś było, bo ludzie dość szybko zapominają i taki, który ma krótką pamięć, więcej się dziś głośno napręklina dlatego, że kubelka nie dostał, niż dawniej po cichu na jasnie pana i na hitlerizm. Trzeba mówić, jakie fabryki dziś się w Polsce wznoszą, jakie olbrzymie prace przeprowadza.

Przywitoskiego nie widziałem przez czas dłuższy.

— W niedzielę, 11-go lutego, jeżeli macie trochę czasu, przyjeżdżcie autobusem do Zajeźdźcu. Mamy dyskusję nad Konstytucją.

Przywitoski urządził sobie mieszkanie w byłym podworskim parku, nie pyszne co prawda, ale jak sam mówi, na razie wystarczy. „Nie płacę i nie narzekam, wiem, że Polska i o mnie nie zapomni, gdy już będzie pod dostatkiem hut, cegielni, elektrowni i kombajnów”. Okno wychodzi na rozległe jezioro, za którym wznoszą się grunty sąsiedniej gromady. Dyskusjanci się schodzą, już miejsca siedzącego nie ma, dymu od papierosów coraz więcej. Dziewczyna szkolna, córka jednego z parcelantów, czyta płynnie artykuł po artykule i po każdym na chwilę przerywa. Ktoś się czasem odezwie, ale to jeszcze nie dyskusja. Dopiero po przeczytaniu wszystkich artykułów, każdy prawie zapamiętał sobie jeden lub kilka, które go najbardziej zainteresowały i wypowiada się. Każdy to robi jak umie, gdy jeden kończy, zabiera głos inny a w całej dyskusji przebiega wspomnienie o przeszłym życiu na pańskim, o tulaćce z folwarku do folwarku, o cierpieniach i poniżeniu, o krzywdzie i niewoli. Na środek izby wysuwa się stary Ozimek i mówi, unosząc ręce:

— Widzicie te ręce. One od takiego baka — pokazał ręką jaki był mały — pracowały na panów. Przez lat czterdzieści orały im ziemię, młóciły ziarno a same często do własnej geby nie miały co podnieść. Dawne konstytucje o nas nie wiedziały a my o konstytucjach. Konstytucja im był wyzysk a nam niewola z nędzą. Dziś te ręce naszą ziemię orzą, dla siebie i dla narodu zboże młóca. Dziś Konstytucja nas widzi, a my Konstytucję! Nasza Konstytucja niech żyje!

— Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Kiedy się uciszyło Ozimek stał jeszcze, widząc że skończył tego, co chciał powiedzieć. Zaraz też usłyszeliśmy jego głos krzepki i mięsisty.

— Hej, jak my teraz widzimy naszą Konstytucję, to wedle niej, jak wedle przykazań, naprzód nam trzeba iść, dalej, niż dotąd doszliśmy na wsi, naprzód...

— Naprzód, naprzód, naprzód!...

Seweryn Skulski

EDWARD SZUSTER

LIST DO NIEZNAJOMEGO

POWAŻNY kłopot sprawia mi adresowanie tego listu, nie znam bowiem Waszego nazwiska, ani też nie wiem, gdzie mieszkacie. Nie znamy się prawie wcale. Nasze jedyną spotkaniem było i krótkie i przelotne, sądzę jednak, że pamiętacie okoliczności, które mu towarzyszyły. Przed kilku dniami byliście w Centralnej Poradni Przeciugruźliczej w Łodzi, na ulicy Moniuszki. Byliście tam po to, by dowiedzieć się, kiedy wasza dziesięcioletnia córka zostanie skierowana do prewenterium. Powiedzieliście mi, że, w tej chwili wolnych miejsc nie ma i dziecko musi jeszcze czas jakiś zaczekać. Zwróciłaś mi Waszą wiadomość, głosno wyraziłaście swą irytację oraz Wasze poglądy na pracę Poradni, poglądy wcale nie pochlebne. Mówiliście nam, że o prawo do ochrony zdrowia, potwierdzonym w projekcie naszej Konstytucji.

Tak się złożyło, że tegoż właśnie dnia byłem i ja w Poradni, widziałem Was i słyszałem Wasze pełne irytacji słowa. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o Waszych kłopotach, chciałem porozmawiać z Wami, ale odwołano mnie w inną stronę, a kiedy znów miałem czas — Was już w Poradni nie było. Właśnie dlatego, że nie udało mi się wówczas porozmawiać z Wami, piszę dziś ten list. Mam nadzieję, że tą czy inną drogą dotrze on do swego adresata.

Zapewniam Was przede wszystkim, że nie w głowie mi czynić Wam wymówki za słowa, wypowiedziane wtedy w Poradni. Jasne, nikt chyba nie jest w stanie obojętnie przyjąć wiadomości, że dziecko jego musi poczekać na potrzebny mu kurację.

Niedobrze jest jednak, jeśli człowiek zaczyna „na siłę” omawiać sobie coś, w co w istocie nie wierzy. Tak właśnie może być z Wami. Wy przecież doskonale wiecie, że Wasze córce i Wam, i każdemu z nas rzeczywiście przysługują prawo ochrony zdrowia przez nasze ludowe państwo. Gdybyście tak właśnie nie myśleli, nie zwróciłybyście Was trudności, z jakimi spoiłicie się w Po-

CZESŁAW PETELSKI

O film popularno-oświatowy dla wsi

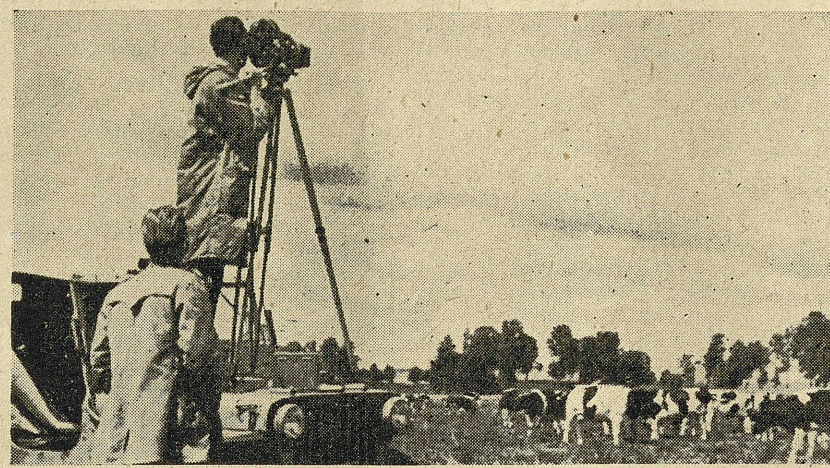


Foto C. Swirta

BURZUAZJA, dążąc do utrzymania klasy robotniczej i chłopstwa w ciemności i zafolowaniu, świadomie hamowała i uniemożliwiała rozwój tych gatunków filmowych, które stawiały sobie za cel szerzenie kultury i oświaty. Te same role spełniało milczenie burżuazyjnej krytyki i publicystyki filmowej. Otóż rola filmu w rewolucji kulturalnej, jaką dziś przeżywamy jest olbrzymia i niezaprzeczalna, a faktyczny stan twórczości dokumentarnej i popularno - naukowej wysunął ją ostatnio na czoło naszej kinematografii.

Tak się dzisiaj mają rzeczy z produkcją. Gorzej jest jednak z krytyką i publicystyką dla niej, film dokumentarny a w jeszcze większym stopniu popularno - naukowy pozostał „kopciuszkiem” wciąż prawie nie dostrzeganym.

W dniu 1 — 3 lutego obradował w Łodzi Ogólnopolski Zjazd pracowników twórczych filmu oświatowego. Poruszone na nim zagadnienia nie znalazły dotychczas właściwego odbicia w naszej prasie. A szkoda. Była to pierwsza w dziejach naszej kinematografii tego typu narada produkcyjna, która przeanalizowała i podsumowała cały nasz dotychczasowy dorobek w dziedzinie filmu oświatowego, wysunęła wiele trudnych i palących zagadnień teoretycznych, programowych i warsztatowych, wytyczyła dalsze drogi rozwoju tej ważnej gałęzi twórczości filmowej.

Planową, w pełni zorganizowaną produkcję rozpoczęła utworzona w 1949 roku, Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi. W pierwszym roku swego istnienia zrealizowała ona 5 filmów, wykonując zaledwie 11 proc. planu. Ale już w roku 1950 WFO produkowała 43 filmy, co stanowi 100 proc. planu. Rok 1951 przyniósł dalsze podniesienie się ilości i jakości produkcji (51 filmów). Warto dodać, że film produkcji WFO pt. „W fabryce” reż. J. Nasłetera zdobył dla Polski na VI Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karłowicach Varach nagrodę za najlepszy film wychowawczy. Nasze osiągnięcia w dziedzinie filmów oświatowych są więc poważne, można by nawet zarzykować twierdzenie, że WFO jest w tej chwili naszą przedującą wytwórnią. Ta wysoka ocena nie zwalnia nas bynajmniej z obowiązku krytyki braków i niedociągnięć, wręcz odwrotnie — upoważnia do stawiania tym większych wymagań.

Przed wszystkim mamy prawo i obowiązek domagać się od WFO, żeby zestawiając i realizując plan tematyczny przestrzegała hierarchii ważności tematów, żeby w pełni uwzględniała potrzeby odbiorców zarówno w mieście, jak i na wsi. Niestety, na tym odcinku nie wszystkie jeszcze zostało zrobione. Nawet bardzo pobieżny przegląd produkcji WFO wykazuje wyraźne zaniedbanie realizacji filmów dla wsi.

W roku 1951 wyprodukowano 27 filmów instruktażowych. Większość z nich jest przeznaczona dla szkolenia pracowników przemysłu i zarówno ze względu na swoją tematykę, jak i sposób jej podania nie nadaje się do wyświetlania na wsi (np. „Wiertarka udarowa”, „Ładowarka zasierutna”, „Wreboładowarka”, „Filtry ciśnieniowe”, „Zespoły tynkowanie”, „Osłona pily tarczowej”, „Montaż łożysk toczonych”, „Kola zębate”, „Frezowanie” i wiele innych). Dla odbiorcy na wsi zrealizowano na zamówienie Ministerstwa Rolnictwa jedynie trzy filmy. Są to: „Wychów cieląt” reż. Janina Hartwig, „Mleko” — reż. W. Drymer, „Ziemniaki” reż. J. Nasłeter. Czy rzeczywiście tego rodzaju sukces ilościowy jest właściwy? W jakim stopniu odpowiada on ważności przebudowy struktury gospodarczej wsi i podniesienia poziomu produkcji rolnej? Wydaje mi się, że czytelnicy łatwo znajdą odpowiedź na to pytanie.

A jak wygląda sytuacja na odcinku filmów popularno - naukowych? Na 24 pozycje zrealizowane w 1951 roku nie znajdujemy ani jednego filmu zaadresowanego do odbiorcy na wsi. Wadą tych filmów jest to, że są one przeznaczone dla widza w ogóle, w rzeczywistości jednak mogą być w pełni wykorzystane jedynie w mieście. Weźmy pierwszą z brzegu pozycję: „Jak powstaje stal” — reż. T. Kallwaga. Film ten opowiada o budowie i działaniu pieców martenowskich, operując terminami i pojęciami niezrozumiałymi dla odbiorcy wiejskiego. Poza tym zdjęcia tryklowe w tym filmie ze względu na swoje tempo są mało czytelne dla widza w mieście, a co dopiero na wsi. Inny przykład: dobry i pożyteczny film „Krew leczy” — reż. J. Popiołka jest naskipowany terminami medycznymi, których widz wiejski nie będzie w stanie zrozumieć. Podobnie przedstawia się sprawa i w innych filmach tego typu.

Jak z tego wynika, brak nam w tej

chwili dobrego filmu popularno-naukowego, przeznaczonego specjalnie dla wsi, dostosowanego do jej potrzeb, łatwo czytelnego i zrozumiałego. Konieczność wyraźnego określenia odbiorcy wydaje się tutaj oczywista. Słuszność tego postulatu potwierdzają również doświadczenia radzieckie.

W ZSRR istnieje osiem wielkich wytwórni oświatowych, nie licząc sekcji ekip filmowych pracujących w instytucjach naukowo - badawczych. Ponad cztery tysiące filmowców opracowuje filmy oświatowe, wśród których popularno - naukowe i instruktażowe, przeznaczone specjalnie dla rolnictwa stanowią bardzo poważną pozycję. Niezależnie od tego, obok popularnej kroniki oświatowej „Nauka i Technika”, wydaje się specjalnie dla wsi kolorowy tygodnik popularno - naukowy.

Jeżeli w Związku Radzieckim, gdzie różnice między miastem a wsią coraz bardziej się zaciera, produkuje się film z wyraźnym oznaczeniem odbiorcy, to czy mogą być jakiegokolwiek w naszej sytuacji? Stoi przed nami ogromne i odpowiedzialne zadanie — zlikwidowania wiekowego zafolowania wsi, zlikwidowania spuścizny po rządach „obszarniczo” - kapitalistycznych. Na dobre filmy popularno-naukowe, instruktażowe czeka miliony masą zupełnie nowych widzów. Już obecnie jest czynnych 1000 stałych kin wiejskich i 200 objazdowych. Niezależnie od tego, w bieżącym roku Ministerstwo Rolnictwa otrzymało do swojej dyspozycji 100 przenośnych projektów, dźwiękowych. Zgodnie z uchwałą naszego rządu w b. r. ma się odbyć na wsiach 50.000 prelekcji połączonych z pokazami filmowymi. Ten olbrzymi zasięg wiejskiej widowni zobowiązuje do dokładnego zastanowienia się nad ilością i jakością produkowanych dla niej filmów.

Film oświatowy dla wsi powinien nie tylko uczyć, szkolić, i popularizować najwybitniejsze osiągnięcia nauki i techniki, kultury i sztuki, powinien również przekonywać i propagować, to musi być film walczący, przesiekający żarliwą pasją agitacji w najsłabszym i pogrążonym w słabości. Jedyne taki film spełni swoje zadanie, będzie pomagał i współuczestniczył w przebudowie struktury gospodarczej wsi i podnoszeniu poziomu kultury rolnej. Jedyne taki film przyczyni się do ulepszenia gospodarstw indywidualnych i do powstania nowych spółdzielni produkcyjnych. Jedyne taki film przyczyni się do wzrostu świadomości i poczucia obywatelskiego obowiązku wobec państwa. Jedyne taki film będzie uatrakalniał i pogrążał w słabość, robotniczo - chłopski. O taki film musimy walczyć. Odnosi się to zarówno do instruktaży, jak i do filmu popularno - naukowego.

Wśród niektórych naszych realizatorów pokutuje jeszcze mniemanie, że „instruktaż to dydaktyzm nie dramatyczny”. Cóż to znaczy? Oznacza to pójście po linii najmniejszego oporu, zepchnięcie instruktażu na płaszczyznę suchego, nudnego wykładu, pozbawienie go bojowego, agitacyjnego nastawienia z artystycznego rozwinienia. To już nie „eskapizm techniczny”, jak to uczynił Zjazd określali niektóre chywy w instruktażach z dziedziny przemysłu, to już

eskapizm polityczny, to oderwanie instruktażu od politycznej sytuacji kraju. Film suchy, niekaskowy nikogo nie przekona, nikogo nie zaagituje. A zainteresować widza, oddziaływać na niego emocjonalnie może jedynie film dobrze zbudowany dramatycznie.

Filmy instruktażowe dla rolnictwa zrealizowane dotychczas przez WFO mimo starannego i interesującego opracowania materiału nie mają dostatecznie dużo mocy przekonywającej, brak im jeszcze agitacyjnego podjęcia do tematu. Wydaje się, że na prawy tego stanu rzeczy szukać należy na drodze bardziej aktywnego udziału w realizacji filmów konsultantów, od których wymagać należy nie tylko ściśle fachowych wiadomości, ale i dokładnej znajomości potrzeb wsi, jej życia, jej bólek i trudności. Wydaje się koniecznym, aby w realizacji filmów brali udział nie tylko konsultanci i teoretycy, ale i konsultanci - praktycy, działacze chłopscy, przodujący aktywni rolnicy ludowego. Jedyne tacy konsultanci mogą wnieść do filmu żarliwą pasję agitatora, jedynie oni będą mogli pomóc reżyserowi w pełnym upolitycznieniu instruktażu.

Podobnie przedstawia się sprawa filmów popularno - naukowych. I tu potrzebna jest pomoc konsultantów-działaczy chłopskich. I tu, może jeszcze bardziej niż w instruktażu, konieczna jest dogłębna znajomość potrzeb wsi i bojowe, agitacyjne nastawienie.

Filmy popularno - naukowe dla wsi, to nie tylko filmy o wsi, to również filmy poruszające najbardziej różnorodne zagadnienia życia społecznego, popularyzujące wszystkie osiągnięcia z zakresu nauki i techniki, kultury i sztuki. Wydaje się koniecznym opracowanie planu tematycznego produkcji filmów popularno - naukowych dla wsi, który uwzględniałby najbardziej istotne potrzeby odbiorcy wiejskiego i kierował się hierarchią ważności zagadnień. Czołową pozycję w tym planie powinny stanowić nie realizowane u nas dotąd filmy o Polsce Współczesnej, o zagadnieniach Planu 6-letniego, o osiągnięciach i sukcesach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Chłopi, którzy stoją się coraz bardziej świadomymi budowniczymi Socjalizmu, powinni uczyć się z nich rozumienia przemian polityczno - gospodarczych, jakie u nas się dokonują, powinni czerpać z nich wiarę w lepszą przyszłość. Filmy te powinny utrzymywać i pogłębiać poczucie ludowego patriotyzmu. Równie ważną pozycję winny stanowić nerealizowane dotąd filmy przyrodnicze, których celem i zadaniem byłoby kształtowanie materialistycznego, naukowego poglądu na świat. Prześąd i zabobon, to wróg, który panoszy się jeszcze na wsi. W walce z przesądem, zabobonem i ciemnotą trudno o lepszą broń niż dobry film przyrodniczy. Konieczność realizacji tego typu filmów dla wsi wydaje się oczywista.

Dotychczasowe osiągnięcia WFO świadczą o tym, że jesteśmy w stanie realizować dużo dobrych filmów oświatowych. Chcielibyśmy, aby w możliwie krótkim czasie wytwórnia mogła poszczycić się jeszcze jednym sukcesem — sukcesem szerokiego rozwinięcia produkcji filmów instruktażowych i popularno - naukowych dla wsi.

Czesław Petelski



Foto C. Swirta

gdyby jednak tak było, to popatrzcie na liczby. W roku 1947, t. j. w roku rozpoczęcia powszechnych szczepień 3 proc. noworodków umierało na gruźlicę nie dożywszy roku; w trzy lata później, w roku 1950 gruźlica zabierała tylko 0,8 proc. niemowląt. Oczywiście, nie tylko sukcesy przyczyniły się do tego sukcesu, udział w nim ma także i szeroka akcja opieki nad matką i dzieckiem, dokarmianie niemowląt i t. d.

Pozwólcie, że zatrzymam się jeszcze chwilę nad innymi danymi dotyczącymi dzieci w wieku od 3 do 15 lat. Jedną z łódzkich poradni przeciugruźliczych notuje na terenie swojej działalności następujące spostrzeżenia. W 1947 roku zarejestrowano 564 wypadki nowych zachorowań wśród dzieci. W r. 1951 nowych zachorowań było tylko 144, czyli zachorowalność na gruźlicę zmniejszyła się o trzy czwarte.

Wybaczenie, że zanudziłem Was danymi statystycznymi; mam nadzieję, że te liczby nie były jednak nudzące. Mówią one przecież o tym, że coraz lepiej, coraz skuteczniej chronimy zdrowie naszych obywateli. Myślę, że te właśnie liczby powinny Was ucielesnioną, jako mało miłośnicę racji twierdząc, że niewiele zrobiono, by

zagwarantować nam, obywatelom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, prawo do ochrony zdrowia.

Zapytacie jednak najprawdopodobniej: no dobrze, ale dlaczego moja córka nie mogła wyjechać do prewenterium? Pytanie słuszne i trzeba na nie odpowiedzieć. Córka Wasza nie pojechała dlatego, że mimo wyraźnych osiągnięć w dziedzinie leczenia, mamy jeszcze wiele do zrobienia. Nie mamy — jak na to wskazuje Wasza sytuacja — dostatecznej ilości prewenterium, dlatego też zdarza się, że dziecko musi czekać na miejsce. Nie mamy też dostatecznej ilości sanatoriów, szpitali, poradni, lekarzy, pielęgniarek, sprzętu — słowem brakuje jeszcze znacznej części potrzebnych do własnych sił, nie zaspokoi ich wielko-dużny prezent jakiegos wyjąka z oceanu, który — jak wiadomo — miałby ochotę poczęstować nas takimi prezentami, jakie nam zupełnie nie przypadają do gustu. Musimy budować, produkować, szkolić, gdyż tylko wtedy zagwarantujemy sobie pełne ucielesnienie naszych praw. Musimy pracować po to, aby w efekcie naszej pracy wzrastała gwarancja naszych praw. Te zasady łatwo wywyciąć można w projekcie Konstytucji.

Edward Szuster

Gazetka gminna

Ostatni rozdział

W korespondencjach, artykułach i reportażach utarł się zwyczaj, że w przedstawianiu spółdzielni produkcyjnych ostatnim zamykającym obrazem bywa z reguły zebranie zespołu, na którym ogłasza się roczny zbiór i osiągnięcia, dniówkę, obrachunkową. Tam oczywiście dowiadujemy się o planie na nowy rok.

Kto z Was, Czytelnicy, wymyślił nowy rozdział, naprawdę zamykający rok spółdzielni? Pozwólcie, że pierwszym, zgłaszającym projekt będę ja. Albo się na ten projekt zgodzicie, albo go skrytykujecie i podacie inne. Wasza wola.

Reymont w „Chłopach” wcale trafnie nie uchwycił biegu życia gospodarczego i społecznego wsi, dlatego go na wiosnę, lato, jesień i zimą. Zima to był okres chłopskich godów. Odpoczynek i popuszczenie pasa po zasobnych zbiorach. U Reymonta wesoła, syta, towarzyska zima jest przywilejem bogaczy Borynów. Dramatem zaś dla biedoty. Nie kochała ona ich roku, ale wykazywała corocznie. Oto, dlaczego zapomniałmy o zimie.

Albo w Polsce Ludowej ogniwo to należy przywrócić w reportażu i powieści. Ogniwu to wywalczyła dała pracującego chłopca rewolucja i nowe, lepsze życie. A już gdzie, jak gdzie, ale w spółdzielni produkcyjnej ogniwo to wieńczy każdy rok zespołowego życia.

Zastanówcie się. Na starej wsi zimą „odchodzili” wesoła i sąsiedzkie gościny. Cóż jeszcze? Gawędzono, plotkowano i spano na potęgę.

W tym spaniu drzemala energia wolnego czasu. Głód, ciemnota, brak światła, brak świetlicy i zorganizowanego życia kulturalnego zaszływiał chłopca pod pierznię, a zrywały go

sensacje: wesele na wsi i traktament u sąsiada.

W spółdzielni też będą wesele i gościny sąsiedzkie. Ale nowe w spółdzielni polega na tym, że wszyscy mają prawo do wesołej, sytej i ożywionej towarzysko zimy.

Polega na tym, że wszyscy mają nowe warunki osobiste (jak światło, gaz, radio) i społeczne, jak świetlica, w której książka, odczyt, dyskusja, film, wieczór artystyczny skupiają ludzi lepiej przygotowanych (materiałnie i umysłowo) i bogaciej zaspakajają głód, jaki rodzi czas wolny od pracy.

Pamiętajmy o tym, że spółdzielnia wytwarza nieznana dotąd na wsi wież społeczna, prawdziwie kolektywne życie, najpierw w pracy a zimą — w wypoczynku o treści towarzysko-kulturalnej.

Oto pod koniec stycznia spółdzielcy w Bogumilowicach (pow. Radomsko) przeżyli coś, czego na starej wsi nigdy byście nie odnotowali.

Gościli u siebie słuchaczy kursu dla sekretarzy Gminnych Komitetów ZSL. Goście w niemałym liczbie (60 osób) przybyli z Łodzi, jak na wesele.

Któż dawniej mógłby „tyle ludzi” przyjąć? Dzieńcie i kulak. Teraz przyjmowała ich dawna biedota. Wiesz, jako zespół, hucznie i szeroko. Ja też tam byłem, miód i wino płem i najgłośniejsie się śmiałem — wiecie kiedy? Kiedy Kusiak Helena opowiadała, jak to była wrogiem spółdzielni i namawiała sąsiadki do bojkotu. A teraz nas gości, jako spółdzielca i przykazuje sekretarzom gminnym, żeby do żniw napisali do Bogumilowic listy, a niech tam nie będzie u Was nowej spółdzielni, to ja zbojkotuję przeciw Wam gminę, rozumiecie?...

Jan Kurzalek

Naukowa gospodarka

Zamyka się rok gospodarczy w spółdzielni produkcyjnej. O czym więc napisać? Sakramentalnie — o dniówce obrachunkowej. Ależ pisaliśmy o niej rok temu i dwa lata temu. Hm, pisać i teraz bo przyszła. Piszcie — o ile przyszła. Napisałem, co dałem? Hm... teraz to już co chcecie.

Nie, panie doradco! Teraz to, co należy. A należy uchwycić znak czasu. Rok 1951-52. Wejdźmy na walne roczne zebranie w spółdzielni II typu w Zeglinie a wyjdźmy z niego, że zmagając członków spółdzielni III typu. Dlaczego przesiadaliśmy III typ? Bo oceniamy wyniki swej pracy i stwierdziliśmy, że nie wykorzystaliśmy jeszcze wszystkich możliwości dla rozwoju naszej gospodarki społecznej. W czymże dostaliśmy nowe możliwości? 1) W rozwinięciu współzawodnictwa, 2) w studiowaniu czasopism rolniczych i osiągnięciach agrotechniki radzieckiej.

Ten drugi punkt wydaje mi się znamienity i przełomowy. Socjalistyczna gospodarka jest naukową gospodarką. Kalendarz i wskazania w gazetach nie obce były już chłopom indywidualnie gospodarującym. Ale oparcie się kolektywu na stałe o fachowe czasopisma, o broszury, o zdobyte przez naukę i praktykę radzieckiej — to nowy etap w rozwoju naszych spółdzielni. W Zeglinie spółdzielcy mają 40 ha łąki, dotąd należycie niewykorzystanej. Przy starej „naturalnej” praktyce nie poradził sobie z łąką. Polamiali żęby, na tych 40 ha. A przecież ile to można by mieć wysokogatunkowej paszy, ile ziemi pod okopowe, pastewne i pod wsiwki. Raj dla hodowli bydła i trzody chlewnej! Nie wystarczyła „niepomienna” gospodarka, no to trzeba zabrać się do książki! — A książkowa — znaczy — wyższy etap. Przeszli więc na III typ spółdzielni.

Stanisław Celaj

Opiekun świetlicowy

Najpierw fakty. W powiecie łębońskim w gminie wsi Choczewo znajduje się wspaniała świetlica, przy niej biblioteka licząca 2.800 tomów. Z samego Choczewa stałych czytelników 120, a gdyby doliczyć jeszcze z pobliskich gromad? W świetlicy zainstalowano stałe kino. Cieszy się wielkim powodzeniem.

A teraz pytanie. Kto nadaje tu ruch życia kulturalnemu? Dwie osoby: Bibliotekarka Gryzińska i referent wydz. kultury z PRN w Łębońsku. „Dotychczas praca kulturalna — oświatowa — donosi korespondent — opierała się wyłącznie na działalności gminnej biblioteki”. O kino postarali się da Choczewa referent z PRN. Dwa prezenty i dwaj opiekunowie. Użytkowników natomiast wielu, ale nie zorganizowanych.

Nowe fakty. W akcji skupu zboża przewodniczący GRN wypożyczył świetlicę przejściowo na magazyn. „Na minutkę, na minutkę”. Potrwała ta minuta półtora miesiąca. Zatrąsana biblioteczka przestała funkcjonować, podobnie kino. Ale opiekunowie życia kulturalnego w Choczewie nie są malowani. Referent kulturalny PRN alarmuje Wydział Propagandy KP Partii. A bibliotekarka Gryzińska — jak można się domyślić — gryzie przewodniczącego GRN. Do nas dołączył echa tych bojów, „korespondencja do gazety” zapewne nauczycielki

miejscowej, która coś z tych tyrań bibliotekarki przeniosła do listu. Oto tyrańca główna:

„Każdy zdobyty czytelnik w gromadzie to żołnierz w walce z ciemnotą i zacofaniem... nie należy przeto zamykać przed nim drzwi biblioteki, ani też świetlicy, bo sam fakt przekształcenia świetlicy na magazyn powoduje lekceważenie roli świetlicy wśród ludności wiejskiej — daje powód do rozumowania, że świetlica może być lub też nie, co z kolei wpływa na rozprężenie pracy świetlicy”.

Tyrańca z sensem. Wiele w niej racji. A najważniejsza chyba — świadomość wielkiej i nieodzownej roli świetlicy w życiu gromady. Ale zrobimy rachunek sumienia. Od 15 grudnia świetlica zamieniła się w magazyn, to znaczy, że skup zboża szedł przedtem ospale i dalego w ostatnich terminach opóźnione dostawały wywoływał zator. Któż więc zamknął świetlicę? Chłopi. Jacy? Czytelnicy biblioteki, albo ci, na których czytelnicy ob. Gryzińskiej mogli mieć wpływ.

Ładny rezultat pracy oświatowo-kulturalnej, „opartej wyłącznie na działalności gminnej biblioteki”, na działalności jednego opiekuna.

Ciekawi nas dlaczego brakło innych z przewodniczącym GRN na czele?

Jan Kleczko

Są i tacy chłopci

W pierwszym roku po wyzwoleniu w Lipnie, jak grzyby po deszczu powstawały sklepiki, kramy, kioski i budki z wodą sodową. Restauracji i tzw. „dziur do wypicia” znalazłby się po kilka i kilkanaście na jednej ulicy. W tym czasie był ktoś i byłe czyste handlowe. W latach 1945 — 48 część pozostawiała handelek, zostało tylko kilkunastu najbogatszych, tych ostatnich wreszcie w latach 1949 — 51 handel uspołeczniony wyrugował prawie że całkowicie.

Dziś w Lipnie prywatny sklep kolonialny prowadzi tylko jeszcze niejaki Hornowski. Temu się powodzi nieźle nadal, bo ma klientów, którzy idą do niego dlatego, że on zawsze dziwnym trafem ma to, czego w spółdzielni nierzadko dostaniemy. Poza nim oraz kioskami z papierosami i jednym z dewocjonaliami sklepów prywatnych już nie ma. Rzemiemisto tylko nie jest jeszcze całkowicie uspołecznione.

Ciekawym jest fakt, że ci z najbogatszych, którzy swoje zakłady i sklepy prowadzili najdłużej, a więc do lat 1950 — 51 po ich likwidacji skierowali swe apetyty na ziemię...

Mniejsi, co nie zdołali na handel zbić dużego kapitału, dawno już pracują po rozmaitych instytucjach i zakładach pracy, bogatsi jednak teraz wzięli się za gospodarke... Pozdobywali w okolicy kawały ziemi i nazywali się teraz gospodarzami. Tak zrobili bracia Zalewscy, Szubiecki, Sliwinski, Grudowski, Sawicki i jeszcze kilku. Wszyscy oni do niedawna handlowali i byli właścicielami prywatnych zakładów.

Dawny właściciel zakładu kowalskiego z Lipna — Grudowski od dawna został chłopem wstąpił nawet do Stronnictwa Ludowego, wspomnieliśmy nawiasem, że przed tym jeszcze w r. 1948, kiedy prowadził warsztat, należał do PPS, potem kiedy szło do zjeżdżania, wystąpił. Może przewidział, że przy zjednoczeniu go odpadł, a może samo zjednoczenie go przestraszyło... Dziwny to zatem... ludowiec.

Z takich właśnie gospodarzy rekrutują się ci, co najwięcej narzekają dzisiaj. Nie podoba im się skup, kontraktacja, w ogóle wszystko, co się robi dzisiaj na wsi... W pracy politycznej na wsi ich właśnie trzeba demaskować. Franciszek Pudowski

Świetlica gromady

Wszystkich zainteresowanych sprawą świetlic zaciekać powinna wieś Sędziwojew (w pow. Września). Świetlica tam wprawdzie nie ma. Dopiero powstaje. Ale czy mało działają tam sobie głowy nad pytaniem — jak doprowadzić do powstania świetlicy w tej czy tamtej wsi?

Otóż w Sędziwojewie znajdujemy ważną odpowiedź i wskazanie.

Jak to często bywa i w tej wsi pierwszym organizatorem życia kulturalnego stał się nauczyciel. Ale od nauczyciela i szkoły do gromady dziesiątych gospodarzy i bab droga jeszcze daleka i wcale nie prosta. Sędziwojew okazał się nawet szczególnie oporny na wpływ z tej strony. Nauczyciel zdobył dzieci. Wiesz sławna jest w poznanińskim województwie właśnie z tych dzieci. Tworzą one od kilku lat zespół teatralny, a co wart, mówią o tym jego sukcesy — pierwsze miejsce na wojewódzkich występach i 6-te na festiwalu w Warszawie w r. 1951. Dzieci sławne, dzieci grają a świetlica, jak nie było, tak nie ma. Warto wreszcie zrozumieć, że w naszej walce o świetlice nie mniej nam musi zależeć na starszych, jak na młodzieży. Nowa funkcja, rewolucyjna funkcja świetlicy polega właśnie na tym, że staje się ona instytucją gromady.

Pokazaliśmy jeden nurt kultury, jaki od kilku lat „opływał” Sędziwojew, ale nie wdaliśmy się w życie chłopów, aby nie czuli dwójności — swojego i tamtego.

Drugi nurt miał inny rodowód: polityczny i gospodarczy. To były sprawy najżywniej obchodzące każdego z osobna i wszystkich razem chłopów. Politycznie w gromadzie wykrytaliżowało się kolo ZSL-u. Gospodarczo to samo kolo stalo się organizatorem współzawodnictwa między gromadami w gminie. I kiedy Sędziwojew zaczął przodować w wielu rodzajach kontraktacji, kiedy wysunął na pierwsze miejsce w skupie zboża, kiedy plan kontraktacji trzody chlewnej na I kwartał 1952 r. przekroczył o 20 proc., gromada poczuła, że jej za ciano. Ze w tych akcjach gospodarczych, w tym gminnym współzawodnictwie wyraża się jej kultura polityczna, której wreszcie trzeba dać osobne miejsce, trzeba ją jakoś instytucyjnie wyodrębnić i tam pielęgnować i rozwijać.

Kolo ZSL-u rzuciło hasło uczczenia 40 rocznicy powstania PPR-u i jako jeden z pierwszych punktów zobowiązań podjęło przyspieszenie otwarcia świetlicy gromadzkiej. Zobowiązań to rzuciło hasło do współzawodnictwa na inne kolo i gromady. Cała wieś poparła inicjatywę kolo. Ono też będzie organizatorem i gospodarzem świetlicy. Zespół teatralny nauczyciela Mertki stanie się wreszcie instytucją gromady, wasatych chłopów i dziecięcych kobiet.

Sędziwojew to ważny i pouczający przykład!

Wiesław Kita

JAN BARANOWICZ

Pan prezes gminnej spółdzielni

Pan prezes gminnej spółdzielni — nie przysięgł — taka władza. Trza obchodzić jak goś w trawie. I czapkać. I dogadzać.

Bo niechby tak wyszedł z formy i w humorze wdępił wsielczy: Nic mu biuro, pacia, normy. Zamknięcie skład czy sklep spółdzielczy.

I Jan Tryś i Michał Pszczółka i Agata Krawczyk z Łąki z nym wrócić do przysiółka, bez oliwy, przędzy, maki.

I Kyrcz, co chce młócić żyto, bo mu szkodnik ziarno zżera, nie pożyczysz dziś — proś-przepsz — młocarni ani tryjera.

— Nie, pan prezes nie przyjmuje — Tak, pan prezes ma odprawę — A pan prezes bułkę żuje — I u żonki pije kawę.

Niech się jęczmień w pryzmie psowa. Niech się cement kluszczy w worze — Czymże zboże? Czym budowa, gdy pan prezes nie w humorze? —

Precesie gminnej spółdzielni! Ostrożnie! Głęboka woda! Służę ludzom pluga, kielni! Powinność twa, nie wygoda.

Przyjm przestrogi słowo szczerze, i w świat patrz wprost, nie w ukosa. Nie nos jest dla tabakiera, lecz tabakiera dla nosa!

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata: I kolportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Sierbna 12, tel. 804-20, 25
Tel. Red. Nacz. 727-85. Tel. Redakcji 751-80. Od wewnątrz 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIŁYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3 — 21, kwartalnie 9 — 21, półrocznie 18 — 21, rocznie 36 — 21.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-13821

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

O poszanowanie chłopskiej inicjatywy

NASI korespondenci zwracają ostatnio baczna uwagę na pracę Gminnych Rad Narodowych. Odczytujemy przychodzące listy, doznając zmiennych uczuć — radości i niepokoju. Radość nas fakt, że terenowi pisarze wykrywają potęgę gminnych urzędów — Zolizkiewiczów, odkładających załatwianie chłopskich skarg i zażaleń ad calendas graecas, piętnują ostro panów rajców, kiedy kredytów na budowę drogi uruchomili nie raczą, upubliczniają pośród chłopów fakty nadużyć i sobiepaństwa, alarmują opinię gromad, że słuszne i konieczne inwestycje, proponowane przez mało i średniorolnych nie są przez Prezydium podejmowane, ani nawet rozpatrzane... Stół! Sprawie stonku GRN do gromadzkiej inicjatywy chcemy poświęcić cały felieton. Bo często dzieje się tak, że „nadarom nasze chłopy głowami ruszają, a gdy o mądrego wymyślą, to Rada przepię!”

Michał Terlecki, drobnorolny chłop z gromady Bzila (pow. Krasnostaw) nie jest właściwie korespondentem. Jeżeli jednak napisał list do redakcji, to dlatego, że 2 ha ziemi torfowobagiennej, porosłej kwaśną trawą, zamienił na wzorową łąkę, z której zbiera wysokowartościowe trawy. Podobnie cała grupa takich, jak on drobnorolnych. Oni to wystąpili z propozycją dostaw gatunkowych siano pod warunkiem, że GRN dopomoże w zmniejszeniu kwaśnych łąk. I taką pomoc otrzymali, w gromadzie rozwija się łakstwo. „Jesteśmy bardzo wdzięczni naszej władzy ludowej za tak troskliwą opiekę i pomoc chłopu na wsi, bo bez tej opieki trudno by nam było dojść do takich osiągnięć i korzyści”.

Oto zrealizowana cenna, gromadzka inicjatywa. Gdybyśmy mogli napisać tak samo o innych gromadzkich inicjatywach, zawsze popartych przez rady terenowe. Niestety, nie zawsze możemy.

W gromadzie gm. Godziszewo, pow. Tęszew spadły dostawy tuczników, zmarnowało się na deszczu niemal zboża, GRN syje na wies pasia ponaglać, mobilizować, przyspieszać, a stan hodowli korzystnie zmienia nie ulega. Przeciwnie, biepież rok zapowiada się gorzej niż poprzedni. Wobec czego — jak donosi korespondent Wierzbicki Władysław — chłopci sami wystąpili z inicjatywą zwiększenia hodowli. Postawili wszelkie warunki. Poniemknie mrowańce, nie remontowane od lat przeciekają. „Ciecie ludziom na łeb i w stajniach trudno o kawałek suchego miejsca dla prosiaka”. Stąd też prośba o papę lub przynajmniej smole. „Zmniejsza się z piachem, posypie dachy i świński odzież”.

Temczasem GRN, która dysponuje smolą powiada, co ma piernik do wiatranki, czyli papi do hodowli świń. I tak już od miesięcy trwa w godziszewskiej gminie kontradans, w którym mijają się korespondencja urzędowa z chłopską, a świński odzież nie mogą. Marują się cenna zbiorowa wola walki o rozwój hodowli. Trudno się dziwić, że chłopci nie darzą tu terenowego aparatu władzy zaufaniem.

A oto pytanie chłopca nie korespondenta — Woźniaka Andrzeja ze wsi Szczyrzyc pod Limanową. „Czy nie ma środków, aby móc wybudować w naszej wsi ze 4 studnie artezyjskie? W porze letniej, kiedy przyjdzie posucha, woda w tych „dolkach”, a nie studniach (co każdy ma kolo domu) wysycha, lud nosi wodę z potoku, gdzie pełno pyłu, liści i drzew i wszelkiego innego brudu po krowach, które tam też poją, bo nie ma blisko wody, pełno różnych zarazków, bakterii, a ludzie to mają wszystko wypić?”

Jakże czas szybko biegnie. Jeszcze w roku 1950, kiedy powstawała spółdzielnia produkcyjna w Wajsnorach (pow. Górowo - Slawickie) pod znaną nazwą „Pokój”, „pominięta

została walka klasowa” — jak pisze korespondent — toteż do spółdzielni wkładał się grupa nierolników i rozbijaczy. Nawet żona soltysa nie wychodziła w pole do pracy.

A dziś... z początkiem r. 1952, kiedy gromada Barchórz (pow. Brzozów) stoi w przedzie dniu powstania spółdzielni produkcyjnej, 17-tu pierwszych założycieli dysponuje już swoim buchalterem. Wysłał córkę Bielicy, jednokierownika gospodarza, na kurs księgowości dla spółdzielni produkcyjnej. Była przedtem instruktorką ZMP. Gdy wróciła po kursie czujni

założyciele, aby ich buchalter nabrał wprawy i lepiej się włożył w pracę, skierowali dziewczynę do PGR-u w pobliskiej Chodorówce, tylko do wiosny. Bo od wiosny zacznie się praca spółdzielcza w Barchórzu. Wróciła jednak bardzo prędko, już po miesiącu. PGR wolał wymienić ją na córkę bogatego gospodarza, u którego za okupację hitlerowskiej nie było bawili. Tenże gospodarz kupił sobie z kobiet, których córki chodzą do Szkół Rolniczych. Co taka warta? Ni pies ni wydra. Do gimnazjum jakby poszła to by była inteligentna.

Założyciele spółdzielni w Barchórzu już czują się kolektywem. I jako zespół natarli na PGR i kulaka. Napisał do gazety. Kiedy cała okolica patrzy na Barchórz, co to znaczy wypchnąć z PGR-u ich buchaltera, znaczy osiemnastu przygotowania założycieli spółdzielni! Co to znaczy, że kulak podstawia swoją córkę i PGR ją przyjmuje? Oznacza to dla kulaków i wrogów u okolicy hasło do podniecenia głosu i podjęcia nowych prób rozbicia spółdzielni. Dlatego założyciele piętnują w gazecie te wydarzenia i dają do zrozumienia wrogowi, że są już zwartym i silnym zespołem choć jeszcze przed pierwszą wspólną orką.

Piotr Pajak

Woźniak — Prządownik — Zdrowia i kierownik Posterunku Sanitarnego zdołał bez trudu powołać do życia inicjatywę gromady, bez trudu uzyskał zapewnienie, że chłopci dadzą darmo robociznę przy kopaniu studni artezyjskiej, nie zdołał jednak zainteresować ani GRN, ani nawet PRN sprawą uruchomienia budowy, nie starczą tu bowiem same chłopskie ręce. Rezultat? Jeszcze jedna nie podjęta inicjatywa gromadzka, jeszcze jedno rozczarowanie w stosunku do aparatu władzy terenowej.

Pomówimy teraz o sprawie, której kaliber wydaje się znacznie cięższy. Najbiedniejsi chłopci z niebogatych gmin Morawica pod Kielcami złożyli w GRN interesujący projekt gospodarczy. Czytamy w liście: „ziemię posiadamy licząc 5-iej i 6-iej klasy. Z wyjątkiem paru morgów 4-iej, są to płaski i góry kamieniste, które nie nadają się na budowę, tylko na szosę, ale za to we wsi Brzeziny są bogate pokłady dobrej gliny na cegły. Postawiono z tej gliny dwa budynki — dosyć dużą plebanie i 8-mio klasową szkołę. A my chcemy, żeby były lepsze nasze domy i chłopów z dalszych stron. Cegła była dawniej wypalana polowym sposobem. W 1948 i 1949 roku zapadły uchwały gminne o budowie i wyrobie cegły na własny użytek i na sprzedaż, okolica jest bowiem bardzo potrzebująca budulca, bo drzewa nie można dostać, tak nam okupant wyniszczył lasy. A gmina jest biedna, ale da funduszu ile tylko wydoła, a co będzie brakować, to może by tak nasz Rząd Ludowy w porozumieniu z GRN, wybudować raczył z nami taką cegielnię. Gliny starczy na wiele lat, poza tym mamy dużo piasku z odpływu rzecznej, będą chłopy robić różne betony, kregi studienne, słupy betonowe dla miast, bo potrzeba i dla wsi, bo budulca brak”.

Już wyobraźnia podpisu obraz zmienionej, produkującej materiał budowlany morawickiej wsi. Marzymy przecież w kategoriach realizmu, nie wychodzimy poza granicę możliwości. Okazuje się one jednak złudzeniem, które rozwiewa nieugięta postawa GRN. Przyjmuje ona wprawdzie listy zbiorowe od biedoty, tak bardzo liżące na pracę, ale odpowiada, że skoro glinę dobywał sanacyjny zarząd gminny, powtarzać też robotę, to polityczny byłby dyshonor dla ludowego Prezydium, brak czujności klasowej, wznowienie burżuazyjnej polityki itd.

Nie możemy się pogodzić z takim, rzekomo, ostrym klasowo stanowiskiem. Widzimy — podobnie jak morawicki chłop — karygodne lekceważenie niezmiennie ważnej i gospodarczo potrzebnej inicjatywy gromadzkiej.

W tych kilku podanych przykładach dotknęliśmy spraw niby drobnych. Ale tak to tylko z pozoru wygląda. Tych bowiem trosk chłopskich, tych pomysłów, mających w perspektywie spowolnić żywy rozwój gromad — GRN-u lekceważyć nie powinni z dwóch względów. Po pierwsze dlatego, że odpychają chłopów, zniechęcają do ogromadzenia się wokół rad terenowych i łamią zaufanie biedoty do aparatu naszej władzy ludowej. A to nie jest drobiazg, lecz wypaczanie podstaw społeczno-politycznego sensu istnienia rad.

A po drugie dlatego, że trzeba pilnie wsłuchiwać się w głosy chłopskich mas, pomagać każdej cennej inicjatywie za której wykonanie, gromady chcą ponieść odpowiedzialność. Bo na tej drodze dokonywa się wyzwolenie i organizowanie energii gospodarczej mas chłopskich.

Wiesław Jażdżyński

A d z i s...

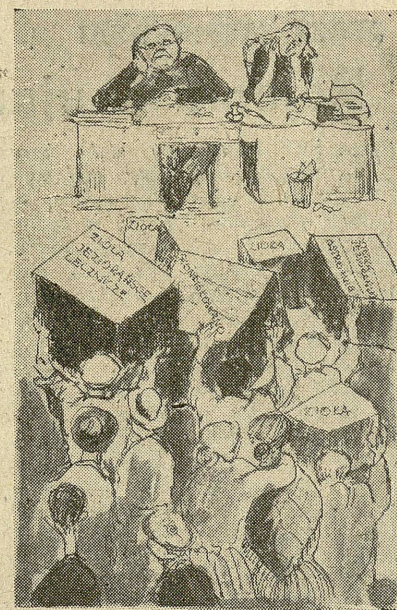
Wielki dzień, aby ich buchalter nabrał wprawy i lepiej się włożył w pracę, skierowali dziewczynę do PGR-u w pobliskiej Chodorówce, tylko do wiosny. Bo od wiosny zacznie się praca spółdzielcza w Barchórzu. Wróciła jednak bardzo prędko, już po miesiącu. PGR wolał wymienić ją na córkę bogatego gospodarza, u którego za okupację hitlerowskiej nie było bawili. Tenże gospodarz kupił sobie z kobiet, których córki chodzą do Szkół Rolniczych. Co taka warta? Ni pies ni wydra. Do gimnazjum jakby poszła to by była inteligentna.

Założyciele spółdzielni w Barchórzu już czują się kolektywem. I jako zespół natarli na PGR i kulaka. Napisał do gazety. Kiedy cała okolica patrzy na Barchórz, co to znaczy wypchnąć z PGR-u ich buchaltera, znaczy osiemnastu przygotowania założycieli spółdzielni! Co to znaczy, że kulak podstawia swoją córkę i PGR ją przyjmuje? Oznacza to dla kulaków i wrogów u okolicy hasło do podniecenia głosu i podjęcia nowych prób rozbicia spółdzielni. Dlatego założyciele piętnują w gazecie te wydarzenia i dają do zrozumienia wrogowi, że są już zwartym i silnym zespołem choć jeszcze przed pierwszą wspólną orką.

Piotr Pajak

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejskie i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Wojciech Drygas



Rys. B. Kusak

WOJCIECH DRYGAS

Ziolo i ziółka

BYŁO się czym cieszyć. Dostarczono przez chłopów-plantatorów do składnicy gminnej spółdzielni w Jezioranach kontraktowany surowiec zielarski — okazał się pierwszorzędną jakości. Kilaset wielkich kartonów, opatrzonych dumną etykietą „Jeziorańskie ziolo lecznicze”, powędrowało drogą kolejową do Centrali Zielarskiej.

— Aby tylko zakwalifikowali do przyjęcia! — martwił się na zapas prezes Witecki, który z zielarstwem miał do czynienia po raz pierwszy w życiu. Wpływłości prezesa rozwiewał z pewną miną inspektor Korzynek, specjalista od „rozgrzania” zawitych okoliczności i instrukcji. Kłóżył z paragrafów umowy, zawartej między spółdzielnią a centralą, mówił przecież wyraźnie: „zakłady zielarskie mają prawo zakwestionować jakość surowca najpóźniej w 24 godzin od chwili otrzymania przesyłki”.

Zegar wybił godzinę za godziną, mijala doba za dobą, centrala nie zgłaszała pretensji. Prezes poweselał, o sprawie przestał myśleć. Przypomniał sobie o niej dopiero w 24 dni później, kiedy na bocznej gminnej spółdzielni wjechały całkiem nieoczekiwane zakwestionowane „Jeziorańskie ziolo lecznicze”. Wyjaśnienie Centrali Zielarskiej było krótkie, lecz po ojcowski serdeczne: „Z przyczyną zawiadamiamy, że ziolo, sklasyfikowane jako surowiec nieodpowiedniej jakości, nie nadają się do przyjęcia. Natomiast opakowanie ziół ocenione zostało przez specjalistów pozytywnie. Prosimy o inną partię surowca”.

Zadawałoby się komuś, że po takim cięsimy fundamenty spółdzielni nie ostaną się w galosie. Innego zdania był jednak inspektor Korzynek, skądinąd znawca literatury rolniczej, który powtarzał za wieszczeniem „gwałt niech się gwałtem odcedza”, przysięgnął niezwłocznie do ratowania sytuacji. Rozładunek transportu ziół i przepakowanie surowca w nowe kartony był tym jego wynalazkiem. Do akcji zmobilizowano wszystkich pracowników biurowych. W ciągu 24 godzin nowy transport był gotowy do wysyłki pod konspiracyjną etykietą: „Ziolo lecznicze z plantacji jeziorańskich”.

Uplętnął znowu długi miesiąc niepokoju i ciągłych obaw, kiedy drzące ze wzruszenia palce prezesa Witeczka rozpieczętowały odpowiedź centrali: „Ziolo dobre, przyjmujemy!”

Stawa inspektor Korzynek, który zdobył sobie przydomek „wielkiego triumfatora naszych czasów”, obiegiła wzdłuż i wszerz całą gminę. Lecz sława ta żyła w podaniach ludu krótko, bo zaledwie 42 dni. Dokładnie po sześciu tygodniach do składnicy gminnej spółdzielni wjechał z adnotacją centrali: „Zakwestionowane!” — cały transport „Ziolo leczniczych z plantacji jeziorańskich”.

Tym razem inicjatywę przejął w swe ręce prezes Witecki. Do rozładowania transportu i umieszczenia go w innym opakowaniu zatrudniono wszystkich pracowników biurowych. W ciągu 24 godzin surowiec był gotowy do wysyłki pod nową konspiracyjną nazwą: „Ziolo lecznicze — gatunek! Uwaga, nie przetrzącać!”

Odpowiedź Centrali Zielarskiej brzmiała entuzjastycznie: „Brawo Jezioran, surowiec przedniej jakości, opakowanie ocenione dodatnio! Gotówkę przekazaliśmy przelewem bankowym!”

Po 100 dniach uporczywej walki z biurokracjami „ziółkami” centrali — pracownicy gminnej spółdzielni odetchnęli z ulgą. Lecz przed intensywnym zapachem ziół w Jezioranach nigdzie się teraz czekać nie schowasz. Każdą myśłą dziurę, każdy schowek, ba, nawet wnętrze kasy ogniotrwałej czuń drogerię. Częstuje ci prezes Witecki papierosem, zaciągasz się dymkiem — miała pieprzowa. Od inspektora Korzyneka, znanego erudyty, każde wypowiedziane słowo łączy łącznie kalendarzem. A znowu cała łąka nasłonecznionego rumianku unosi się aureolem nad głołami referentów od planowania.

Rzekł ktoś nie bez złośliwości: „Pracownicy gminnej spółdzielni leczą zespołowo swe walory i woreczki żółciowe, zażywają ziółka skutecznie przeciwko nadmiernej otyłości”. Oczywiście insynuacja! Zapach ziół przylgnął do nich na długo podczas ładowania i rozładowywania wciąż